

ZŁOTE SERCE







ZYGMUNT SARNECKI.

# ZŁOTE SERCE

POWIEŚĆ

---

I.

LATA DZIECIŃSTWA.

---

WE LWOWIE.

KAKŁADEM KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.

Z drukarni Władysława Łozińskiego.

Zarządca W. J. Weber.

1885.





189545

## I.

### Pierwsza Podróż.

Na dworcu Północnej kolei żelaznej w Paryżu, podający się do Niemiec, stoi wyciągnięty długim szeregiem wagonów. Na ich czele, już po za szklanym przesłaniem, niecierpliwa, ponura — chociaż lśniąca promieniami słonecznych swoim mosiężnym na czarnym żelazie okuciem — dysze i sapie ciężka lokomotywa. Za kilkanaście minut ruszy z miejsca i jak ognisty w baśni ludowej porwie chyżo za sobą tłum ludzi. Łańcuchy, które je wiążą, szczękają jak na nogach więźniów, prowadzonych do wieży. Wagonociągi, chociaż gotowe do drogi, stoją rzędem, w szeregu, pod przezroczystym dachem, oczekując godziny, w której wytoczyć się będą musiały z tymi wozowni i puścić po szynach ku Belgii. W pierwszym rzędzie siedzą podróżni, w drugiej klasie, pierwsza zaś świeci pustkami. Ludzie w pierwszym i tych, co się spieszyć zwykli, mało, pociąg jest w całości mieszanym; tańszy wprowadzie od swoich bogatszy, drzemających cicho na dworcu, ale też i od nich posuwać się będzie do celu podróży.

Przy drzwiach, wiodących z sali pasażerskiej na peron, odźwierny w mundurze wyciska żelaznym stemplem w kształcie szczypiec znak, przebijający na wylot gruby papier biletów, jakie mu podał młody jeszcze mężczyzna, niosący czteroletniego chłopczyka na rękę. Za nim postępują dwie kobiety. Jedna stara i dziwnie ubrana ociera chustką załzawione oczy; druga młodsza, ładna, ledwie się wlecze, zdrętwiała od smutku. Damy biletów nie mają, ale pokazują pisemne pozwolenie naczelnika stacyi, upoważniające do wejścia na peron, dla odprowadzenia męża i zięcia.

Cała gromadka smutna i cicha posuwa się milcząc ku wagonom drugiej klasy. Przechodzą od jednego do drugiego, zaglądają do wnętrza, pragną wybrać najwygodniejszy. Próżne poszukiwania i starania daremne. Wszystkie do siebie podobne, o ławkach wąskich, obitych spłowiałem sinem sukniem, pokryte pyłem i węglową kurzawą, tu i owdzie nawet splamione, budzą odrazę i nie zachęcają do zajęcia w nich miejsca.

Czas upływa.

Wskazówki zegara, osadzonego w murze nad arkadą środkowych drzwi dworca, posuwają się coraz bliżej do oznaczonej godziny wyjazdu. Obojętny, spokojny, nieruchomy, chociaż postępujący ciągle, chłodny widz dramatu rozstania, patrzy swem dużym, białym okiem na rzeczy i ludzi, nie troszcząc się niczem i o nikogo. Żadna niedola, żadna tragedia uczuć, żadna katastrofa moralna nie wzrusza go i nie powstrzyma obrotowego ruchu jego strzałek czarnych. Tylko kataklizm przyrody, trzęsienie ziemi, drżenie murów, wybuch dynamitu lub nitrogliceryny jest w mocy zmusić go, aby stanął. Wtedy, jako świadek wypadku, wydaje przed historią albo sprawiedliwością chwilę,



w której natura lub ręka zbrodniarza przerwała życie jego mechanizmu. Naprawiony i nakręcony idzie znowu równie spokojny, równie obojętny, wskazując i wydzwaniając dalej godziny radości i smutku, wyjazdu i powrotu.

Młody mężczyzna wybrał nareszcie wagon mniej brudny od innych, chłopca powierzył starszej pani, a sam wziął od posługacza kolejowego, który nadbiegł, ręczny skórzany kuferek i haftowaną torbę podróżną. Rzucił je na siatkę, rozpiętą na żelaznych prętach nad siedzeniem *coupe*, a dosłyszawszy cichy jęk, wtórujący tym ostatnim przygotowaniom do drogi, odwrócił się do postępującej za nim towarzyszki, objął ją za szyję, usta do jej ust przycisnął i rzekł po francusku, akcentem zdradzającym polskie pochodzenie:

— Bądź zdrowa droga Amelio.

Żona nie odpowiedziała, ni słowa, tylko dwie duże łzy, powstrzymywane dotąd, potoczyły się po jej bladych licach. Zimnemi ustami dotknęła ust męża.

— Nie płacz... Wszakże muszę jechać dla naszego wspólnego dobra... dla dobra naszego dziecka; a jeżeli zabieram ci Stasia, to dlatego tylko, że chcę, aby mój ojciec go zobaczył, aby uwierzył, że jesteśmy pobrani, że węzły, któremi złączyliśmy serca i dłonie, nie mogą być rozerwane.

I zwracając się do starszej kobiety dodał:

— Mamie polecam moją Amelkę, mamie, która nigdy humoru nie traci. Baw ją i rozweselaj droga pani, dopóki was wszystkich do Warszawy nie sprowadzę.

Pani Lepelletier, chociaż jeszcze przed chwilą kała cicho i rzewnie, skoro tylko zięć — zbywając się sieżaru utrudzającego swobodę jego ruchów — zdał jej

pieczy Stasia, ujęła dziecko za rączki i zaczęła się z nim wykręcać po asfalcie, tańcząc, przyśpiewując, śmiejąc się głośno i wesoło. Różowe wstążki jej kapelusza — przyozdobionego różnobarwnymi kwiatami i krasno umalowanymi strusiami piórami — fruwały w około pokrytego zmarszczkami czoła, nad którym lśniły upomadowane włosy czarnej peruki. Szal indyjski w palmy, niezbyt świeży ale jaskrawy, spięty pod szyją dużą stalową błyszczącą broszą, poruszony wirowym ruchem, unosił się w górę jak skrzydła jakiegoś olbrzymiego ptaka. Chłopczyna, zanosząc się od dziecinnego chichotu, skakał razem z babką.

Zabawna świekra, zatrzymana nagle w tańcu interpelacją męża swojej córki, przestała się kręcić i składając ręce jak do modlitwy, zawołała tonem na wpół patetycznym a na wpół wesołym :

— Kochany mój zięciu, możesz być spokojny i wierzyć, że zajmę się twoim skarbem z podwójną pieczołowitością matki i męża zarazem. Zawijając ją będę w bawełnę, jak klejnot rodzinny, pieścić jak kochanek, bawić jak poliszynel.. Amelia, mówiłam ci zawsze, to brylant czystej wody, a pod mojem okiem najmniejszej nie poniesie skazy.... Ja tu zostaję, ja jej pilnuję, ja strzegę jak oka w głowie.... Nikt ci jej nie ukradnie, bądź tego pewny drogi Karolu; ufaj mi i nie lękaj się niczego.... Jedź szczęśliwie z Bogiem, zbieraj i odbieraj miliony, a kiedy je już trzymać będziesz w dłoni, wezwij nas do siebie. Zobaczysz, jak nam będzie dobrze razem w twojej lodowatej Polsce, jak ja tam wszystkich i wszystko rozweselę.... Wiesz, że posiadam zaczarowany flecik dobrego humoru. Zagram na nim i wszyscy będą musieli tańczyć, jak oto teraz ten malec najdroższy, mój wnuk ukochany — a mówiąc wnuk, obejrzała się na wszystkie strony, czy

jej kto nie podsłuchuje. — Och! Stasia, to mi żal bardzo... bardzo... On o babce zapomni!

I całując rumiane policzki dzieciaka, znowu zaczęła ciche łzy ronić.

Konduktor przebiegł wzdłuż linii wagonów, wołając donośnym głosem:

— *En voitures!*

Karol ucałował rękę świekry, przycisnął raz jeszcze żonę do piersi i wskoczył do wybranego wozu.

— Podajcie mi malca — krzyknął, wyciągając dłonie.

Ale niełatwa była sprawa oddać Stasia w ręce ojca.

Dotąd spokojny, roztargniony, chwilami wesół a chwilami obojętny na wszystko, co go otaczało, nagle zrozumiał, że go rozłączają z matką i babką, że przechodzi pod wyłączne zawiadywanie mężczyzny, którego lękał się instynktownie, jak każde dziecko wychowane i rozpieszczane przez kobiety. Nadto straszyl go ten długi szereg wozów ciemnych, uderzających o siebie ze szczękiem.

Drżał na całym ciele, słysząc przeraźliwe gwizdanie lokomotywy, które zdawało się go przywoływać; wrywał się matce i babce, co mu tylko sił starczyło, opierał nóżkami o stopnie i zewnętrzne ściany wagonu, odpychając od nich całą siłą drobnych ale jak stal giętkich muszkułów.

Krzyczał w niebogłosy po francuzku:

— Ja nie chcę tam siedzieć... ja nie chcę iść, gdzie syczy i dymi... ja nie chcę do tatka... ja nie chcę, ja nie chcę!

Czas było położyć koniec tej męczącej scenie.

Kobiety nie mogły — a może nie chciały — podać malcowi.

Wtedy Karol żwawo na peron wyskoczył, dzieciaka matce i babce odebrał — i przy pomocy jakiegoś podróżnego, który, szukając dla siebie wygodnego miejsca, właśnie się nawinął, wniósł opierającego się ciągle Stasia do wagonu.

Chłopczyna zamilkł nagle, jakby przerażony siłą złego na jednego.

Niemy, zbladły ale przytomny, stanął na niebieskiej ławce i wlepił oczy w istoty kochane, wyciągające do niego dłonie.

Żal ścisnął mu serduszko.

Jak woda zaskórnego źródła wzbierał płacz gdzieś na dnie jego małej piersi, a podnosząc się w górę, ścisnął mu spazmatycznie gardło... Malec jednak nie jęknął, nie zaszlochał, ani jednej łzy nie uronił.

Czuć było, że poraz pierwszy może burzy się coś i wre w tym organizmie zaledwie ukształtowanym, ale co?... Trudnoby to było i najpilniejszemu badaczowi odgadnąć, taki tam w główce panował jeszcze chaos wrażeń sennych, wspomnieniowych, ścierających się z rzeczywistością i pierwszemi objawami życia.

Na sprzymierzeńca ojca, który tak niespodzianie ułatwił nad nim zwycięstwo, pozierał z ukosa... ten zaś, spostrzegłszy, że nie pozostaje mu dość czasu do zwiedzenia dalszych wagonów, usiadł koło Stasia i zamknął za sobą drzwiczki z trzaskiem, konduktorowie bowiem francuscy zanadto podobno mają do czynienia, aby zajmować się tak błahym — w ich przekonaniu — obowiązkiem.

Łańcuchy szczęknęły, koła zazgrzytały po szynach... i pociąg wolno z początku, potem coraz spieszniej wytoczył się z paryskiego dworca kolei Północnej.

Pani Lepelletier i Amelia, chwilę jeszcze stały, ścigając wytężonym wzrokiem bladą twarzyczkę ku nim zwróconą... później rękę Karola z kapeluszem, którym żegnał je przez otwarte okno... i dopiero, kiedy sznur ciemnych wozów zniknął wśród murów fortyfikacyjnych, pomyślały o powrocie do domu.

Staś, straciwszy z oczu matkę i babkę, zgiął automatycznie drżące pod nim kolana, zsunął się na siedzenie, wyciągnął nóżki, główkę pochylił na piersi i zadumał się smutnie, ale tak jak i przedtem, nie płakał.

Chłopczyk czuł w skroniach ból dotkliwy... Pierwsze moralne cierpienie wbijało mu się cierniami ostremi w mózg, pierwszą walką i przegraną znużony.

Nie trwało to jednak długo.

Ciągle zmieniające się widoki przydrożne krasą swoją i urokiem, zacierały powoli ale skutecznie wspomnienie doznanej przykrości.

Z początku śliczna panorama okolic Paryża, nie bawiła i nie zajmowała go wcale; nawet nie zdawał z niej sobie sprawy. W główce zalegała ciemność, mgła szara i coś co ciążyło, co dokuczało.

Po niejakiś czasie jednak, zasłona mroczna, rzucona na władze moralne, zaledwie kiełkujące pod czołem, zaczęła się rozpraszać. Świeża, czysta, niczem prawie niezapisana karta myśli poddać się musiała narzucającym się wrażeniom nowym i nieznanym, zwłaszcza że tłómaczyły one, dopełniały i przypominały rzeczy, widziane przez chłopczykę w grubych, dużych; czerwono oprawnych książkach z obrazkami i w zabawkach, jakich posiadał mnóstwo.

Kiedy niekiedy spoglądał nieznacznie na ojca, który wydawał mu się surowszym niż zwykle, chociaż

niby na dzieciaka nie zwracał uwagi i rozmawiał swobodnie z towarzyszem podróży.

Dla malca, przyzwyczajonego do macierzyńskich pieśczot i pieczołowitości nieustannej, ta udana czy rzeczywista obojętność była bardzo niemiła, więc żwawo odwracał oczęta błękitne — ciągle jeszcze smutkiem zaćmione — i topił je w otwartym oknie, za którem ukazywały się i migały szybko domki z czerwonej cegły, obramowanej ciosem, z okiennicami zielonemi, pałacyki ze złotonemi balkonami i smukłemi wieżyczkami, kopuły na altanach żelaznych i rotundach kamiennych, wille białe, o łupkowych — jak smoła czarnych — dachach, otoczone tłem trawników, drzew i krzewów kwitnących.

Widział już Staś coś podobnego w rycinach i ilustracyach, ale tam wszystko było ciemne i martwe, tu zaś cały krajobraz aż mienił się od światła i kolorów.

Chociaż ból niby żelazną obręczą ścisnął jeszcze skronie dziecka, smutek powoli się rozpraszał, wietrzył, ulatniał.

Pociąg posuwał się wciąż naprzód, zatrzymując się nader często na stacyach i przystankach. Panowały na nich gwar, ruch i wrzawa niedoopisania. Zbliżanie się południa zdawało się coraz gorętszem tętnem budzić życie na całej linii kolei żelaznej Północnej... Tragarze nieśli i wlekli ręczne pakunki lub popychali kufry, kosze, walizy, złożone na niskich żelaznych wózekkach, pod któremi warczały po asfalcie małe, skrzypiące kółka. Przekupnie i służba restauracyjna z tacami, napełnionemi przysmakami, głośno zachwalali jadło i napoje. Nowi podróżni odmykali drzwiczki i wskakiwali bez namysłu do wagonów, albo zajrzawszy do ich wnętrza — widocznie niezadowoleni — pozo-

stawiali je otwarte i biegli dalej, wzdłuż zatrzymanego na dworcu pociągu.

Ile razy coś podobnego się przytrafiło w wozie, w którym siedział Staś z ojcem i niemiłym dziecku towarzyszem, pan Karol powstawał z siedzenia i zachaczał zewnętrzną klamkę, którą ktoś znowu na następnej stacyi odsuwał, pozostawiając niezamkniętą.

Jeszcze malec nie zdołał zdać sobie sprawy z całego obrazu, jaki mu ożywiony pośredni, prowincjonalny dworzec przedstawił — a już lokomotywa gwizdała, konduktorowie nawoływali się głośnemi hasłami, dzwonki elektryczne tętniły przeciągle, posługacz kolejowy żelaznem sercem uderzał trzykrotnie w mosiężne ściany wiałkiego dzwonu... i pociąg ruszał znowu dalej i dalej, pędząc wśród domów miejskich lub przez pola, sady, winnice i gaiki.

Kiedy biegł ulicami wiosek i miasteczek, Staś szeptał po cichu:

— O!... o! domy jadą!

I jakby przebudzony dźwiękiem słów własnych, oglądał się na ojca, a dostrzegłszy udaną czy rzeczywistą obojętność, malującą się na jego licach, zamilkł natychmiast.

Z coraz większem jednak zajęciem patrzył przez otwarte okno.

Tu zastanowił go ogródek, pełen róż wonnych. Po ścieżce, wysypanej żółtym piaskiem, kroczył dumnie kogut, trzepoczący skrzydłami i głośnem pianiem wabiący kury i kureczęta.

Miał on koguta z wosku... a babcia tak prawdziwie naśladowała pianie, że kiedy bywało zawołała „kukuryku!“ na czwartem piętrze, to w sklepie ptasznika — na dole, w ulicy — cały drób, jaki się tam

znajdował, na rozmaite głosy i tony wtórem jej odpowiadał.

Dziecina dumiała sobie:

— Gdzieś ty teraz, mój koguciku!

Pociąg pędził wśród zarośli.

Na jedną z drzewin karłowatych wspinała się koza, jak dwie krople wody podobna do kózki na kółkach, którą mu na Nowy Rok pani Lepelletier darowała, a którą także w Paryżu pozostawił... Miała ona taką samą czarną, długą, pokędzierzawioną wełnę i takie rogi wygięte i brodę trzęsącą się za każdym poruszeniem. Była tylko mniejsza — ale i ta z daleka wydawała się niedużą.

Inne dziecko, wobec podobnego odkrycia, byłoby klasnęło w dłonie z radości i podzieliłoby się wrażeniem z sąsiadami, ale Staś czuł... niejasno wprawdzie.. ale czuł jednak, że znajduje się w otoczeniu prawie obcem, czuł że mu wyrządzono krzywdę, z której sobie sprawy nie zdawał, że go upokorzono, że go dotknięto... więc choć mu wargi drżały, serduszko wyrывało się z łona, ręczki wyciągały się do uścisku, a usta do pocałunku... ani się ruszył, ani słówka nie wymówił.

Kiedy szyny kolei żelaznej słały się po wiadukcie lub wysokim nasypie, Staś chwycił za taśmę, przybitą do ramy okna, stawał na siedzeniu i wpatrywał się z góry w gładki kobierzec łąki szmaragdowej, tylko co skoszony, przerzniętej wązkim strumieniem, wpływającym przy śluzie do sadzawki, ciosem ocembrowanej. Z basenu — płytkiego jak talerz, ale dominującego nad płaszczyzną, rozścielającą się z przeciwnej strony — wylewała się woda, szumiącą kaskadą do rowu, wykopanego niżej, w wilgotnej niegdyś, dziś suchej darni.

Kanał wyciągnięty w linii prostej, opuściwszy trawnik okalający sadzawkę, rył się pomiędzy grząd-



kami warzyw i niskimi jabłonkami, jak jakaś wielka graniczna bruzda. Drzewka owocowe, gęstemi, zbitemi, okragłemi koronami swemi rzucały cienie niby plamy na falistą powierzchnię jasno-żółtych kalafiorów w rozkwicie, kapusty zawiązującej się w blado zielone główki i wody, cicho płynącej w kanale. Nie była ona ani srebrzystą ani kryształową, chociaż i do niej przez liście i gałęzie zaglądały promienie słoneczne. Czarne, niedość głębokie, błotne dno barwiło ją kolorem posępnym; lśniła się tylko od piór kaczek pływających się w niej rozkosznie. Kaczki ograbiły ją z wszystkich blasków słońca.

Kaczory jaskrawo lub pstro upierzone zanurzały żółte dzioby w toń czarną, a potem, klekocąc niemi ochoczo, podnosiły w górę ciemnozielone szyje, mieniące się w pocałunkach złotego światła.

Staś miał całe pudełko blaszanych, malowanych kaczek i płał je nieraz w miednicy. Były tam czarne, białe, pstre i nawet takie z zielonemi szyjami.

Pociąg biegł ciągle dalej.

Pod lasem, na pastwisku, między pniami — od korzeni podważanemi do wykarczowania — skakało spętane źrebię, z powodu tego spętania kołyszące się przy każdym podskoku jak konik Stasia na biegunach. Ale chłopczyk nie miał czasu długo myśli zatrzymać na swym koniku drewnianym, bo gromadka dzieci wiejskich, spostrzegłszy lokomotywę i wagony, wbiegła na nasyp kolejowy aż prawie nad szyny, zaczęła trzaskać z biczów i wrzeszczeć:

— Hou! hou!... o! lala!

Staś pokraśniał cały. Oczęta mu się zaiskrzyły, wyciągnął paluszek wskazujący i mruknął:

— O!... o! dzieci!

Pociąg wsunął się w jar o ściankach pochyłych. Na jednej z nich, trawą i kwieciem polnem porosłej, u samego szczytu, siedziała dziewczynka w czerwonej spódniczce, w białym czepeczku na głowie. Trzymała na sznurze krowę płową, graniastą, pasącą się zieleń wonnem, lebiodą, powójkiem, ścielącym się szeroko po gliniastym gruncie spadzistego wądołu.

Taką krowkę, tejże samej maści z mosiężnym dzwoneczkiem u szyi, z nóżkami przyklejonemi do zielonej deseczki, udającej trawnik czy pastwisko, odjechał także... Pozostawił ją tam za sobą, przy ulicy Drouot, na czwartem piętrze... tam gdzie wszystko zostało... gdzie mama i babunia ...

Co one zrobią z jego zabawkami?... czy babcia mu je przywiezie?... czy może komu daruje?

Znowu coś jak żal i smutek obudziło się w serduszku dziecka, smutek pełen drogich wspomnień, w których oblicze matki i babki łączyło się z wyobrażeniem kogutka z wosku, kozy z trzęsącą się bródką, kaczek blaszanych, kołyszącego się konika i krowki, podzwaniającej grelotem.

Słońce, wzbijając się coraz wyżej i wyżej na błękitną kopułę nieba, roziskrzało wesołe i jaskrawe barwy letniej przyrody — puszczając zaś na główkę Stasia ciepłe promienie, mięszało w niej pojęcia i wyobrażenia. Chłopczyzna czuł się znużony.... Gorąco mu było, duszno... Nóżki odmówiły posłuszeństwa i mimowolnie zsunęły się znowu na siedzenie jak długie. Chciał się dźwignąć i za taśmę uchwycił, ale ta wysliznęła mu się z rączki. Mgłą zachodzące źrenice przesłaniały co chwila ociężałe powieki.... Otwierał oczy, chciał patrzeć, widzieć... i nie mógł, nie mógł...

Pochylił wreszcie główkę na haftowaną torbę podróżną, którą ojciec od niechcienia zdjął z siatki i rzucił

w jego stronę... rozwarł usteczka rumiane, westchnął głęboko i usnął.

Skorzystajmy ze snu znużonego dziecka, aby zapoznać czytelnika z rodzicami i rodziną Stasia.

Karol urodził się na Podlasiu, w majątku matki, która go wcześniej odumarała. Nie zaznał nawet pieczęci rodzicielki, kobiety dobrej i czulej, ale dlatego właśnie bardzo nieszczęśliwej w krótkim swoim pożyciu małżeńskim. Szlachetna, wyższego umysłu, ale słaba i lękliwa, dała się łatwo zawojować mężowi, starszemu od niej blisko o lat trzydzieści. Ten ostatni, wdowiec, posiadał z pierwszego związku dwóch synów dorosłych i córkę zamężną; był człowiekiem niezbyt delikatnym w obejściu i samolubem, w całym znaczeniu tego wyrazu. Wydano ją za niego bezmyślnie, po głupiemu, pomimo że o sympatii wzajemnej mowy być nie mogło, — ot! dlatego tylko pono, że lepsza i stosowniejsza partya długo się nie trafiała. Biedna młoda i poczciwa ale miękka jak wosk kobieta, w dwa lata po zamążpójściu, przeziębila się kiedyś, wracając z tańczącego wieczoru w sąsiedztwie, a w parę miesięcy potem galopujące suchoty zabrały ją z tego świata w chwili właśnie, kiedy Karolek przestał być niemowlęciem, a opieka kochającej matki stawała się dlań niezbędną.

Do ósmego roku życia rósł jak dzikie drzewko w chłopskim sadzie. Nikt nie pomyślał o zaszczepieniu w jego duszy zasad i przekonań, z których — z czasem — powstaćby mogły znaczne dążenia i wzniosłe czyny, jak z zaszczepionego pnia tryskają w górę uszlachetnione gałązki, pokrywane się na wiosnę kwieciami wonnym i pięknym, a w jesieni soczystym owocem. Żył ze służbą, z ofycyalistami i ich dziećmi, daleki i niemal obcy ojcu, liczącemu kopy w polu, oszczędzającemu złotówki i grywającemu w maryasza z pro-

boszczem lub w preferansa z urzędnikami z powiatu, mało bowiem od śmierci żony udzielał się w sąsiedztwie, a rzadko kiedy kto go odwiedzał — nie był bowiem lubiony w okolicy — chociaż wszyscy przyznawali, że gospodaruje rozumnie i wyśmienicie, a krzywda ludzką się nie bogaci. Szczęściem, towarzystwo Karolka, pod względem moralnym, jeśli nie było bezwzględnie dobrem, nie było także i zbyt szkodliwym. Chłopczyna nie mógł się w niem zgorszyć złemi przykładami, bo ludziska, otaczający sierotę, byli prości, pospolici, głupiale uczciwi.

Ekonom nauczył go czytać i pisać, a ojciec — spostrzegłszy się wreszcie, że czas o synu pomyśleć — oddał Karolka na pensję w Siedlcach. Tu dopiero, wśród zupełnie obcego otoczenia, pod kierunkiem przełożonego, który dbał więcej o wykształcenie niż o wychowanie powierzzonego sobie chłopca, ujawnił Karolek i rozwinął zdolności ogromne, ale zastygł w egoistycznym chłodzie, widocznie odziedziczonym po ojcu. W zetknięciu z towarzyszami szkolnymi, synami sąsiadów, przeważnie dzielnymi i gorącymi chłopakami, coś się tam w sercu jego czasem budziło — coś z sukcesyi po charakterze matki — ale odrobina tych uczuć szlacheckich nie mogła się bujnie rozkrzewić w niesprzyjającej atmosferze edukacji obojętnej, płatnej, prowadzonej byle zbyć, byle zamydląć oczy świadectwami o postępach w nauce i prowadzeniu się przyzwoitem. Istotnie Karolek — jakkolwiek na wsi obcował tylko z ludźmi źle wychowanymi i grubianami — dzięki wrodzonemu sprytowi, szybko przyswoił sobie pozory przyzwoitości. Szorstki i suchy wewnątrz, zewnątrznie wygładził się w ciągu nader krótkiego czasu do niepoznania, tak, że go za wzór stawiano kolegom, stokroć więcej od niego moralnie obdarzonym.

Pan Filip Mowelski, ojciec sieroty, niegdyś — jak to już powiedzieliśmy — zawołany gospodarz, następnie zniechęcony do rodzinnego zagonu kilkoletnim nieurodzajem, gradobicie i innymi licznymi stratami, zresztą znużony pracą i potrzebujący wypoczynku, w chwili właśnie, kiedy Karol skończył gimnazyum z medalem złotym i chlubnym patentem, za zgodą rady familijnej, wyposażył starsze przyrodnie rodzeństwo młodzieńca — z sumy, jaką otrzymał ze sprzedaży dóbr podlaskich; poczem pozbył się także swojej włości w Lubelskiem, przeniósł się do Warszawy i osiadł na stałe w stolicy. Posiadacz sporego kapitału, człowiek już stary, chociaż krzepki, wyglądający czerstwo i zdrowo, nie chciał więcej pracować. Ofiarowywano mu wcale dobrą posadę w Towarzystwie Kredytowem Ziemiem, wiedziano bowiem, że zna stosunki krajowe doskonale, a obowiązku, jakiego się podejmie, nie omieszka spełnić sumiennie — ale samolub wymówił się zmęczeniem i wiekiem.

Pół dnia — w zimie — przepędzał w skromnem swem mieszkaniu, w lecie w Saskim Ogrodzie na czytaniu gazet, a raczej pomieszczonej w nich kroniczki wypadków bieżących, miejscowych i zagranicznych — polityki bowiem nie lubił — drugą zaś połowę, większą pono, przesiadywał w Resursie kupieckiej przy wistowym lub preferansowym stoliku. Przepadał za wistem i preferansem. Pierwszego grywał z licytacją — drugiego z tak zwaną „kurką“ i innymi odmianami, jakimi wyobrażnia słynnych graczy warszawskich urozmaiciła oba komersy, aby je, o ile możności, zbliżyć do hazardu. Grał wyśmienicie i rozważnie, przegrywał zatem bardzo rzadko, ale ponieważ nie awanturował się w drogie partyjki, więc i wygrana jego nie była zbyt wysoka. Policzywszy dorożki w niepogodę z Chmielnej — gdzie mieszkał — na ulicę Senatorską, obiady, czarną

kawę, herbatę, czasem kolacyjkę i różne drobne wydatki, jakie życie klubowe za sobą pociąga, tytuł „Re-sursa“ w jego rocznych rachunkach wytwarzał po podsumowaniu *plus* zero, albo *minus* zero, lub drobna jakąś kwotę. Tak zatem kapitał jego majątkowy nigdy prawie nie nadwątlony, ani nader skromnem utrzymaniem, ani tem mniej wistem i preferansem, tył i nabrzmiewał, ale tylko naturalnym przyrostem odsetek i procentu od procentów.

Mnóstwo ludzi, interesujących się cudzemi sprawami — a takich nigdy nie brak — uważało Mowelskiego za człowieka bardzo bogatego, niemal milionera. Niejeden patrząc, jak około północy — prawie zawsze — zgarbienia z zielonego stolika kilka albo kilkanaście rubli, widząc, że żyje oszczędnie i wydaje mało, że nic od nikogo nie żąda, a przed Nowym Rokiem, zamiast rozsyłać bilety z powinszowaniem, składa w „Kuryerze“ dość znaczną ofiarę na cel dobroczynny, myślał sobie w duchu:

— Stary kutwa, musi mieć kabzę dobrze nabitą!

Fama o bogactwach Mowelskiego rosła ciągle. Przekonanie, że stary posiada grube pieniądze, podzielało i przyrodnie rodzeństwo Karola. Siostra zameżna i dwaj żonaci bracia, znając wybornie charakter ojca, jego obojętność na wszelką niedolę i wszelkie lamenta — chociaż nie wiodło się im w gospodarstwie na swoim — nie śmieli nigdy uskarżać się głośno na ciężkie czasy, ani prosić go o pomoc. Czekali tylko niecierpliwie na obłowienie się sutym spadkiem, to bowiem, co już otrzymali, zdawało się im niedostateczną zaliczką albo schedą po ich matce, pierwszej żonie Mowelskiego, która Bogiem a prawdą, wniosła posażek bardzo niewielką, dużo mniejszą od wiana nieszczęśliwej, zmarłej na suchoty macochy. Mowelski zaś, przekonany, że uczyni

zadłość obyczajowym i prawnym obowiązkom względem dzieci swoich z pierwszego łoża, zawsze jak i w życiu całym zimny egoista, nie troszczył się o nie wcale, więcej zajęty totusem bez atu albo wielkim szlemem niż wyposażonem potomstwem, które przecie dla tego miało głowę na karku, aby sobie dawać radę, jak on sobie dawał radę, kiedy był młodszy i pracował na ziemskim warsztacie. Co prawda i dla Karola nie żywił uczuć gorętszych, chociaż dumny był z naukowych powodzeń Benjaminka, oraz z jego zdolności do matematyki, o których wiele mówicno.

Była to epoka, w której najświetniejszą karierą i najpiękniejszym zawodem wydawał się zawód inżyniera i karyera inżynierska. Społeczność, płynąca długo w okręcie ideału po błękitnem morzu marzycielstwa, szukać zaczynała realniejszego gruntu, na którym oprzećby można kotwicę nadziei. Rodzice, w każdym zdolniejszym dziecku płci męskiej pragnęli widzieć nowego Lessepsa, nie zastanawiając się wcale, czy przyszłe wypadki, już kiełkujące tajemniczo w łonie czasu, pozwolą synowi przekopywać spokojnie kanał Sueski, przewiercać na wylot jedną z olbrzymich gór alpejskich, albo nawet budować na rodzinnej ziemi koleje żelazne, sprzyjające handlowi zbożem i spowiniętemu wówczas jeszcze w pieluchy przemysłowi tkackiemu i cukrowniczemu.

Karol, ulegając modzie a może wrodzonemu instynktowi, postanowił zostać inżynierem. Ojciec jego nie miał nic przeciw tak chwalebniemu zamiarowi, wyznaczył mu pensję roczną dość dużą, i wysłał do Paryża, gdzie bystry i pilny młodzieniec przygotował się szybko do egzaminów, a zdawszy je z odznaczeniem, wszedł do szkoły Dróg i Mostów. W trzy lata potem, opuszczał on mury słynnego w świecie całym

instytutu naukowego jako inżynier dyplomowany. Pan Filip — pomimo egoizmu — zadowolony z syna i jego praktyczności i wzorowego prowadzenia, co wszystko pochlebiało jego miłości własnej, nie cofał parotysięcznej subwencji; Karol zatem postanowił zatrzymać się czas jakiś w stolicy Francji i wyszukać sobie posady, któraby stała się pierwszym szczeblem do przyszłej jego fortuny i znaczenia, był bowiem ambitny, chciał zdobywać nietylko złoto ale i laurowe wieńce. Szukając stanowiska, zawierał stosunki i robił znajomości. Jeden z byłych jego kolegów ze szkoły Dróg i Mostów przedstawił go panu Lepelletier, niegdyś przedsiębiorcy budowy kolei żelaznych, wówczas — o ile się zdawało — niezmiernie bogatemu rentierowi, oraz jego żonie i pasierbicy, ślicznej, siedmnastoletniej brunetce.

Karol, jak wiemy, nie odznaczał się zbyt płomiennym temperamentem; przytem nie można go było nazwać uczuciowym lub sentymentalnym; raczej zimny i wyrachowany regulował bicie serca według zegarka, pragnienia nawet zmysłowe czyniąc zależnemi od względów interesu.... ale... Amelia była tak zachwycająco piękna, tak ponętna i dobra, a pani Berta Lepelletier primo voto hrabina de los Campados Esthevedos y Catalena, secundo voto Vrignault de la Redorde, w trzecim związku małżeńskim pocieszająca się po drugim wdowieństwie, taki szumny i wesoły dom prowadziła, tak wspaniale podejmowała u siebie Paryżan i cudzoziemców, że praktyczny ale młody, niedoświadczony i nieznający świata młodzieniec uznał za stosowne zakochać się w milionowej dziedziczce, i oświadczyć się o jej rękę, zwłaszcza, że Amelia wyraźnie okazywała mu życzliwość i szczerą sympatyę. Jakże się było nie oświadczyć, kiedy przyjaciele Lepelletierów szeptali sobie na ucho — dość głośno jednak, aby wszyscy



słyszec mogli, że po jednej z wojen domowych, zakłócających tak często spokój iberyjskiego półwyspu, hrabia de los Campados Esthevedos y Catelena przemknął się do Francji przez Pirenee pomimo czujnych straży, które nań czyhały, w szlafroku długim, szerokim, fałdzistym, podszytym dyamentami najczystszej wody. Dyamenty należeć miały pono do koronowanej banitki, ale namiętny hidalgo — emigrant, innego musiał być pod tym względem przekonania, ofiarował je bowiem swojej narzeczonej w wigilię ślubu. Dalej mówiono, że drugi mąż Berty, prześlicznej wówczas kreolki, pan Vrignault de la Redorde, kapitan okrętowy, stary wilk morski, nie uważał za rzecz zdrożną lub niehonorową, prowadzić gdzieś.. kiedyś.. na odległych oceanach handel murzynami, a żeniąc się, podarował połowicy sto beczek złota i zamek de la Redorde w Bretanii. Już to, co prawda, o panu Lepelletier, jako o współczesnym, mniej pomyślnie krążyły wieści. I jemu się wiodło w stanie kawalerskim, ale powodzenie nie trwało długo. Co zyskał na przedsięwzięciach kolejowych, utopił w spekulacjach i grze na giełdzie. Gdyby nie skarby nieboszczyków, które wraz z ręką wdówki dostały mu się w zarząd i administrację, mogło nawet być z nim krucho. Wspominano o nadużyciu zaufania, o krzywdzie jednego ze współników, o groźnym a nagle zażegnanym procesie kryminalnym... ale któżby tam wszystkim plotkom ludzkim wierzył. Dość, że salon Lepelletierów, znany powszechnie w Paryżu, był zawsze przepelniony niezbyt wyborowem, ale wesołem i błyszczącym towarzystwem, a ich wydatki roczne dosięgały cyfry dwukroć stutysięcy franków.

Ponieważ Karol, w całym znaczeniu tego wyrazu przystojny młodzieniec, odrazu wpadł w oko pięknej

Amelii i zajął sobą mocno ukochaną jedynaczkę, pani Lepelletier zasięgała o nim wiadomości z Warszawy, pragnąc sprawdzić, czem jest istotnie ów młody współziomek Sobieskiego, Leszczyńskiego, Kościuszki i księcia Józefa Poniatowskiego, czterech Polaków, o których Francuzi coś niekiedy wiedzą. Rezultat informacji wypadł wielce korzystnie dla naszego inżyniera. Wszyscy korespondenci warszawscy zgodzili się na jedno: „Karol jest szlachcicem, rzymsko-katolickiego wyznania, posiada milionowego ojca, który prawdopodobnie zapisze mu cały majątek, a to ze względu, iż starsze przyrodnie rodzeństwo już otrzymało co miało otrzymać. Karol zaś — bardzo zdolny i prowadzący się wzorowo — jest faworytem bogatego papy“. — Po takich raportach, nie należało odwlekać szczęścia „dwojga kochających się dzieci“. — Zaręczyny Karola i Amelii odbyły się z ostentacją i przepychem, a narzeczony po tej uroczystości dopiero napisał do pana Filipa, prosząc go o błogosławieństwo.

Ale w życiu... gdzie tyle ale... nie wszystko układa się po myśli tych nawet, co rozumnie i zimno, trzeźwo i roztropnie obrachowują naprzód wszystkie za i przeciw. List Karola, upraszający ojca o zezwolenie na zawarcie związków małżeńskich z bogdanką wybraną, list cieplejszy niż zwykle, przejęty uczuciowością, której stary Mowelski w synu nie podejrzewał, wywarł na stałym członku Warszawskiej Resursy Kupieckiej nieprzyjemne wrażenie. Myślał sobie:

— Smarkacz! zbałamuciła go jakaś awanturnica... Mniema, że coś ze mnie wyciągnie... nie dam nic i nie odpiszę.

Nie odpisywał istotnie dość długo... ale swoją drogą informował się w Paryżu przez znajomych o

pannę, szczególnie zaś o jej rodziców i ich stan majątkowy.

O ile informacje o Karolu wypadły świetnie, o tyle wiadomości o Lepelletierach nie mogły zadowolić Mowelskiego. Jakiś złośliwy, czy zazdrośny rodak, od lat paru zamieszkujący stolicę Francji, brednie mu o nich popisał. Mieszając prawdę z urojeniem, rzeczywistość z plotkami, przedstawił pana Lepelletier jako oszusta i bankruta, panią Lepelletier jako rozpustnicę i intrygantkę, a Amelię jako istotę zgubioną, która musi wyjść za cudzoziemca, bo żaden Francuz zaślubićby jej nie chciał. Nadto dodał, że pozorne bogactwo pokrywa tu straszną i ohydłą nędzę, a cała nieszczęśliwa rodzina poluje widocznie na „polskie pieniądze“, aby niemi finanse swoje poprawić.

Stary, przeczytawszy to wszystko, szepnął do siebie urywanym głosem, ze złośliwym uśmiechem na ustach:

— Karolek... patrzcie no go, proszę, taki mądry, a dał się złapać!.. Błazen... ale ja nie głupi. Polskie pieniądze... moje pieniądze przedewszystkiem... zobaczysz je synku jak swoje ucho.

Wycedziwszy te wyrazy bez gniewu, chociaż z ironią, na jaką go stać było, zimny i spokojny jak zwykle, poszedł do Resursy, siadł do zielonego stolika i w ciągu wieczora — od czwartej popołudniu do północy — dał przeciwnikom swoim dwa wielkie i trzy małe szlemy.

Po dwunastej nie chciał grać dalej; — obrachował się, zgarnął z sukna pięćset rubli — sumę, jakiej dawno już za jednym razem nie wygrał — wsiadł na dorożkę, a wróciwszy na Chmielną, położył się do łóżka i zasnął snem błogosławionego.

U Lepelletierów nikt się nie dziwił, że Mowelski nie odpisuje, zwłaszcza, iż Karol, jedyny z całego grona,

który się niepokoił przedłużającym się milczeniem ojca, niepokojem swego nie okazywał, przeciwnie ukrywał go jak najstaranniej.

Dla matki i ojczyma Amelii było rzeczą zupełnie naturalną, że milionowy szlachcic polski, zanim stał nowczo odpowie, zgadzając się na związek, pragnie zbadać dokładnie stosunki rodzinne, w które syn jego wchodzi, oraz zapewnić się, czy posag przyszłej synowej odpowiada słusznym zresztą może — a im nieznanym — wymaganiom, chodzi tu bowiem o faworyta, któremu ma zapisać cały swój majątek. Pani Lepelletier nie przypuszczała, aby domniemane indagacye Mowelskiego nie miały być uwieńczone najpomyślniejszym rezultatem, tak dla nich jak i dla córki, zobowiązywała się bowiem przy podpisaniu intercyzy wypłacić milion okrągłutki częścią w ziemi, częścią w państwowych papierach publicznych; po najdłuższem jej życiu (o najdłuższe życie gorąco Boga prosiła, chociaż kochała jedynaczkę), Amelia miała odziedziczyć wszystko. W wianie figurował także zamek de la Redorde, o którym opowiadano cuda.

Tych wszystkich szczegółów Karol ojcu nie doniósł, obawiał się bowiem, znając dobrze pana Filipa, aby stary — widząc syna tak bogatym — nie skąpił ze swej strony i nie ofiarował mu bardzo mało albo nie wcale. Bądź co bądź, po za wrodzonym samolubstwem, był dumny, chodziło mu zatem o dobrą opinię narzeczonej i jej rodziców, oraz o względy światowe.

Pani Lepelletier, od lat wielu przyzwyczajona do dobrobytu i zbytku, nieznająca się na interesach, lekko-myślna, całe życie szczęśliwa, wierzyła w złudzenie bogactw, jakim ją jej mąż otaczał. Ten zaś, chociaż wiedział, że w spekulacyach i grze giełdowej topił olbrzymi majątek żony, spodziewał się przedewszystkiem

ciągle, że jeśli nie dziś, to jutro niezawodnie, przy pierwszym pomyślniejszym uśmiechu Fortuny, odzyszcze w jednej chwili to, co przez lat kilkanaście stracił. Nadto pewny był, że tajemnicy jego sekretnych operacyj finansowych nikt nie zdradzi, agent bowiem nawet i *avocat*, którzy czasem pośredniczyli mu przy niektórych transakcyach i interesach, nie znali całego ich obrotu. Posiadając zupełne zaufanie żony, zaopatrzony przez nią w pełnomocnictwo nieograniczone, Bertę nadewszystko pragnął oszukać, utrzymując ją w mniemaniu, że nie tylko nie trwoni, ale przysparza majątku, wydawał zatem pełną garścią gotowiznę obciążał hipoteki nieruchomości miejskich i posiadłości ziemskich długami, ale stopy codziennych wydatków nie zmniejszał i prowadził dom na taką skalę, jakby w skarbie znajdowały się wszystkie brylanty hrabiego de los Campados Estheros z Catelena i wszystkie beczki ze złotem kapitana Vrignault de la Redorde.

Młodzi tymczasem miłośnie gruchali unisonem niezamąconym ani jednym fałszywym dźwiękiem.

Karol pod wpływem uroku jaki roztaczała Amelia — piękna, ponętna, dobra, spostrzegł niebawem że i jego serce bije w piersi żwawiej, gwałtowniej. Nie zdawał sobie sprawy z kąd nań spadło to dopuszczenie, a czuł jednak, że śliczna dziewczeczka przyciąga go ku sobie, że już bez niej żyć by nie potrafił, że musi ją mieć przy swym boku, że musi ją posiadać koniecznie, bo inaczej stałoby się coś niezwykłego... coś okropnego może... poczem nie mógłby doprowadzić swego umysłu do chłodnej równowagi, nie mógłby odzyskać dawnej władzy nad sobą, dawniej swobody i spokoju, nie mógłby snuć roj-ń' ambitnych i sięgnąć śmiało po majątek i znaczenie. Dziwny, a jednak naturalny fenomen fizyologiczno-psychiczny! Karol — niedawno je-

szcze uosobienie egoizmu i oziębłości bez granic — teraz, dla Amelii, z którą widywał się codziennie do której coraz bardziej się przywiązywał, byłby zdolny do największych poświęceń.

Francuzki posiadają sekret przyrządzania słodkiego napoju miłosnego, zdaje się nawet, że one to go wynalazły. Niewinne czy zepsute, dziewice czy kurtyzanki, Lukrecye czy Messaliny, napełniają nim czare po brzegi, a napełnioną podają mężowi czy kochankowi pijąc z niej same wraz z mężem lub kochankiem. Kto raz dotknął ustami tej czary, musi — we dwoje — spełnić ją do dna, wysączyć do ostatniej kropelki. Mimo swego ubóstwa umysłowego, mimo ziemskości najpopolitszej, przebijającej z każdej myśli miłosnej, z każdego erotycznego frazesu, upstrzonego romantycznością stylową — szychem, którym wykształcześnie haftują swoje uniesienia namiętne — nie masz na świecie kobiety, któraby potrafiła tak jak Francuzka zająć mężczyznę, zawładnąć nim, zapanować bezwzględnie, zwłaszcza kiedy żądając od niego miłości sama kocha szczerze. Każda jest w stanie bryłę lodu roztopić w swym gorącym uścisku... każda... każda, czy przybrana w śnieżną suknię Westalki, czy w białe grono staje księżęce, czy w łachman purpurowy królowej z lewej ręki. Wprawdzie — niemal zawsze — miłość jej trwa krótko, ale jakże różną, jakże silniejszą jest od białych płomyków, palących się w serduszkach Polek, Angielek i Niemek, a nawet od ogni jaskrawych, gorejących w sercach Hiszpanek i Włozek. Francuzka, kiedy kocha, nie zna więzów towarzyskich, kajdan konwenansu i kobiecej dumy, z których Polka nigdy prawie nie abdykuje. Francuzka całą swoją istotę oddaje ukochanemu. Staje się jego cieniem, jego służebnicą, niewolnicą... jego rzeczą... jego własnością.

Zyje myślą, zamiarami, cudotami, błędami, technieniem kochanka. Identyfikuje się z nim, wypiera się swej indywidualności, swojej duszy — aby zrosć się z nim w jedno ciało. Kiedy Francuzka kocha bez rachuby, bezinteresownie, bez tego co się w jej języku zowie *une arriere pensée*, wtedy jej miłość, prawa czy nieprawa, czysta czy zrodzona z mętów i kału — rzadka wprawdzie ale przytrafiająca się niekiedy — bywa szczytem poświęcenia, zaparcia się własnego ja, bałwochwalstwem, fanatyzmem poetycznym, czemś świętem pomimo swej cielesności, czemś idealnem pomimo swych ziemskich premisów, czemś po grecku pięknem, doskonałem, rozumnem — pomimo że kapłanka, święcąca kult podobnego uczucia, wydaje się nieraz jak gęś głupia i jak edredonowe pierze lekka.

Taką wyjątkową miłością kochała Amelia Karola. Zimny samolub, urodzony na północy, o długo uspio-nych zmysłach, tem łatwiej gorący afekt narzeczonej podzielił, że zrozumiał, że w podobnym sentymencie egoizm jego królować może bez szwanku; ale — chociaż dobry matematyk — nie obliczył nieznaney sobie siły uczucia i słabości natury ludzkiej. Wkrótce — kochając po raz pierwszy — uległ potędze miłości, która w poświęceniu rozkoszy szuka. Dla Amelii wyrzekłby się majątku, sławy, nawet najświetniejszego stanowiska. Palony pragnieniem namiętne wyciągnął ramiona do dziewczki o rysach regularnych, prześlicznych, o oczach czarnych, płomiennych, o biuście zaledwie się zaokrąglającym, jak atlas gładkim, a bez połysku, bo barwy śniadawe rzucały nań jakieś cudne, tajemnicze cienie. Te barwy wypaliły na skórze, wewnętrzne, wrzące strumienie dwóch krwi południowych, zmieszanych z sobą i krążących w żyłach Amelii... Była córką hiszpańskiego emigranta i kreolki.

Miłość dwojga narzeczonych narażona została wkrótce na stanowczą próbę.

Mowelski nie odpisywał, pomimo ponownie, kilkakrotnie wysłanych listów — a z Warszawy dochodziły słuchy, że na ożenienie syna z „awanturnicą francuzką“ zgodzić się nie myśli.

Z drugiej strony, pewnego dnia straszny cios — jak grom z pogodnego nieba — uderzył w dom Lepelletierów. Głowa rodziny, pan Lepelletier, zmarł nagle i niespodziewanie, na udar nerwowy, a śmierć jego otworzyła pod stopami nieszczęśliwej żony i pasterbicy otchłań ruiny majątkowej. Lepelletier, lękający się, aby ktoś finansowych jego machinacyj nie odgadł, przeczuwał widocznie od pewnego czasu zgon rychły i gwałtowny; spalił zatem — opanowany namiętnością gry giełdowej i ryzykownych spekulacyj — wszystkie papiery, dowody nadużyć, jakich się dopuszczał. Po pogrzebie przekonano się, że w ogniotrwałej kasie, stojącej w jego sypialnym pokoju, nie pozostało nawet całego tysiąca franków, że wszystkie depozyta w bankach podniósł i zmarnował oddawna; że domy i ziemie obdłużył, tak że nie przedstawiały już prawie żadnej wartości — a papiery publiczne zmienił na gotowiznę i roztrwonił.

Umeblowanie bogate, stroje i klejnoty stanowiły wszystko, na co liczyć można było w przyszłości i co należało jaknajspieszniej sprzedać, aby który z niezuanych wierzycieli nieboszczyka i o tę resztę się nie upomniał. Wypadało przypuszczać i taką ostateczność (jakkolwiek przypuszczenie okazało się mylnem), gdyż zmarły nie pozostawił ani jednego świstka, któryby o stanie interesów świadczył i wszystkie olbrzymie straty objaśniał.



Rozpacz Berty nie miała granic. Ona, która tak długo żyła w przepychu i wygodzie, w chwili właśnie, kiedy zbliżająca się — a straszna dla niej. — starość, pozbawiała ją bezpowrotnie wdzięków, jakimi niegdyś usidlić zdołała aż trzech mężów, traciła także obecnie od razu nadzieję spokoju, dobrobytu i wszelkich przyjemności, które majątek dostarcza ludziom zapóźnionym w lata. Cios niespodziewany pozbawił biedną kobietę na czas pewien energii i wesołości, nieopuszczających jej dotąd całe życie.

Szczęściem, młodzi się kochali i byli zdolni do poświęceń wzajemnych.

Amelia zgodziła się na zawarcie małżeńskiego związku, bez zezwolenia starego Mowelskiego, a Karol, sprzedawszy — o ile się dało najlepiej ruchomości swiekry, wynajął mieszkanie skromne w tańszej dzielnicy miasta, do którego przeniósł się zaraz po ślubie z obydwoma kobietami. Nierozporządzając, niczem — ojciec jego bowiem, równocześnie z powyższą katastrofą, przestał wypłacać mu pensję — wziął się do pracy, przyjął pierwszą lepszą posadę w biurze jednego ze swych kolegów i zanurzył się cały w morzu rozkoszy, podzielanej przez Amelię miłości. Owocem tej, był znany już nam Staś, który — niespełna w rok po tem wszystkim cośmy dopiero co opowiedzieli — przyszedł na świat, powitany radośnie przez matkę i babkę, dość obojętnie przez młodego ojca.

O ile przybycie dziecka wzmocniło i uszlachetniło namiętne przywiązanie Amelii, o tyle ochłodziło Karola. Ciężar utrzymania zwiększonej rodziny przygniatał go swoim brzemieniem; zresztą, nasyciwszy pragnienie, zaczął stygnąć a może i żałować lekkomyślnego kroku. Patrzył niecierpliwie w przyszłość zakrytą i w stronę ziemi rodzinnej, spodziewając się w przebaczeniu ojca,

ziszczenia swoich dawnych rojeń i nadziei. Stał się surowy, szorstki, drażliwy, chociaż umiał nad sobą panować i nie zdradzać wewnętrznego usposobienia. Ambicya jego — uśpiona czas jakiś — zbudziła się silniejsza, gwałtowniejsza, więcej wymagająca, bo niezadowolona z nużącej i przykrej terażniejszości. Kochał jeszcze wprawdzie... ale już tylko z przyzwyczajenia.

Dzień w dzień pisał listy do Warszawy, do znajomych, dowiadując się o zdrowie i usposobienie ojca, który — jak mu donoszono — nie wierzył w legalny związek syna, miał go bowiem za zbyt „rozumnego“, aby na zawsze zamknąć drzwi przed uśmiechającą się doń karierą i przyszłością pełną wspaniałych obietnic, dla jakiejś tam „gołej awanturnicy“. Nie dość na tem, zawiązał stałą korespondencyę z przyrodniem — mało sobie znanem — rodzeństwem, a szczególnie z siostrą, która w pismach większą od braci okazywała mu przychylność. Wreszcie dowiedziawszy się kiedyś, że Mowelski — już bardzo wiekowy — zapadł na ciężką i groźną chorobę, że mieszkania nie opuszcza i do Resursy nie chodzi, uplanował podróż wraz z dzieckiem do kraju, pewny, że skoro się pokaże i stan rzeczy wyjaśni, stary mu przebaczy i na nowo do łask swych przypuści. W projekcie tym mniej było złudzenia, niżby to na oko zdawać się mogło. Karol bowiem posiadał szczególny dar jednania sobie ludzi, których ujmował, naprzód powierzchownością sympatyczną, następnie wielką uprzejmością i ogładą, nabytą od dawna, a doprowadzoną do doskonałości w Paryżu, przez otarcie się w wykwintnych i wytwornych towarzystwach.

Amelia — udręczona smutnemi przeczuciami a może już domyślającą się oziębłości męża — lękała się wyjazdu Karola i parę miesięcy stawiała mu opór, ale

zięć znalazł w uwielbiającej go świekrze dzielnego sprzymierzeńca. Oboje tak długo i tak gorąco przemawiali za podróżą, taki nacisk wywierali na Amelię, że ta zgodzić się musiała, chociaż ból nieopisany szarpał całą jej duchową istotę. Naraz traciła męża i syna, dwie istoty, które ubóstwiała. .. W głowie, w mózgu, jedna myśl ciążyła ołowiem: czy ich jeszcze zobaczy i czy nie postrada ich przywiązania przez rozłączenie....

Po tych objaśnieniach, wracamy do wątku naszego opowiadania.

---

## II.

### Na nasypie kolejowym.

Kiedy Staś się przebudził, towarzysza podróży który dopomógł Karolowi do poskromienia dziecka — już nie było w wagonie. Wysiadł na jednej ze stacyj bliższej Paryża

Chłopczyna, przetarłszy oczęta, obejrzał się wokoło ze zdziwieniem. Widocznie sen oderwał go od rzeczywistości i przeniósł lekkimi jak marzenie skrzydłami — na ulicę Drouot do matki, babki i zabawek. Chłopiec chciał płakać, ale surowa twarz ojca, na którą spojrzął na powstrzymała łyż już cisuące się na rzęsy.

— Zjadłbyś co? — zapytał Karol po francu  
Staś bowiem po polsku nie rozumiał.

— Nie wiem... — mruknął dzieciak, chmu jeszcze i zaspany.

— No, no.... daj torbę.

Staś posłusznie zsunął się z siedzenia i drobne rączkami — o ile mu sił starczyło — popychał ojcu po sinem suknie obitej ławce torbę haftowaną, której przed chwilą spoczywała jego główka.

Dziękuję — szepnął Karol z uśmiechem.



Uśmiech ten uprzejmy i miły wywołał szczęśliwą reakcję w duszy dziecka. I jego twarzyczka, — jaśniejącą wewnętrznym jakimś blaskiem oświecona — wyprzedziła się także.... Z zachwytem i miłością wpatrywał się w piękne, męskie oblicze ojca, którego się bał, zarazem kochał instynktownie. Czuł, że z serduszką wyrywa mu się coś — co jeszcze przez zdławione spazmatycznie gardło i zaciśnięte usteczka przed się nie może i ułożyć w czułe wyrazy — ale, gdyż już był w stanie zdać sobie sprawę z wrażeń i żęnia te opowiedzieć, wyślowiły je niezawodnie w ślicznym dytyrambie, pełnym prawdziwej, chociaż wierszowanej poezji.

Łakomstwu dziecinnemu przypisał Karol rozdanie się twarzyczki dziecka.

— Głodny jesteś? — zapytał.

— Nie — odparł chłopczyzna z oczyma w nemi w ojca.

Ten wzrok przypomniawszy Karolowi Amelię.

Mimowoli westchnął, synka do piersi przyciskał i pocałował w czoło.

Serduszek w piersi Stasia kołatało jak wobodne, nagle wpuszczone do klatki i rozbijało się wśród ścian z drutu i drewnianych szczebli.

Pierwsza pieśczęta ojca wydała mu się łodką. Wziął ją jako rzecz sobie tylko daną i rozumiał i nie mógł rozumieć całej zmysłowej a żoną, jaka się w pocałunku Karola odbiła. I szczęśliwy zapomniawszy o smutku, podchwytliwym uniesieniu swojej dobrej i kochanej. Zaczął się ojcu przypominać i tulić do niego.

— No, no, widzę żeś, głodny — mówił — potrzeba ci dać śniadanie.

Wydobył z torby rozmaite wiktuały i przysmaki, któremi go w drogę opatrzyły Amelia i świekra. Ukrajał cieką kromkę białego chleba, rozpostarł na niej plasterek szynki i podał dziecku.

— Masz jedz... A może naprzód napijesz się trochę wina?

Chłopczyk uśmiechał się patrząc na ojca, poraz pierwszy zajmującego się nim jak matka i babka.

Karol nalał czerwonego płynu z oplatanej flaszki do małego kubeczka srebrnego.

— Za zdrowie mamy!

— Za zdrowie mamy! — powtórzył Staś i wychylił do dna.

— Smakuje ci?

— Smakuje.

— To może powtórzysz?

— Za zdrowie babci... chyba — szepnął.

— Dobrze; za zdrowie babci.

Malec wypił jednym łykiem. Oczęta jego błyszczały ułgarnie i wesoło.

— A teraz... za zdrowie taty — rzekł, przyciskając się pieszczośliwie do kolan ojca.

— O!... to może będzie za dużo.

— Ja kocham tatę... bardzo... tak jak babcię, jak mamę...

Teraz Karol się uśmiechnął.

— A nie zaszkodzi ci... nie upijesz się?

— Nie... W domu czasem i pół szklanki wypiełem...  
ot! tyle...

Raczkami wskazywał miarę.

Ojciec nalał znowu kubeczek. Dziecko spełniło trzeci toast z pewnym rodzajem zapału, jakby pragnęło przekonać, że kocha tatę równie mocno jak mamę i babcię.

Karol wyjął serwetkę i otarł mu buzię zaczerwienioną od wina.

— Jedz teraz sobie, bo i ja się pożywię.

To mówiąc odsunął lekko Stasia od swoich kolan.

Chłopczyk cofnął się w tył kroków parę, oparł się o drzwiczki wagonu, kromkę do ust wcisnął, ale oka z ojca nie spuszczał, który — sam widocznie głodny — zaczął spożywać z apetytem chleb i zimne wędliny.

Pociąg tymczasem zwolnił biegu.

Wagony potoczyły się obecnie cicho, spokojnie, leniwo, jakby do bliskiej już Belgii nie było im pilno.

W miarę zbliżania się do granicy i krajobraz przydrożny zmieniał swój charakter.

Nasyp kolejowy wbiegł wyniosłym wałem na płaszczyny Północnego departamentu (*D. du Nord*), najbogatszego we Francyi, chociaż nienajrozleglejszego, bo mniejszych od niego liczą zaledwie dwadzieścia siedm. Jednym rzutem oka łatwo sprawdzić, że ziemia w nim tłusta, a warstwa rodzajna głęboka. Wprawdzie pod względem żyzności gleby niektóre *pays* francuskie walczą z dep. Północnym o lepsze, żaden jednak nie dorównywa mu w uprawie rolnej, ani zarazem w produkcji przemysłowej. Rolnictwo i przemysł trzymają się tu za ręce i wzajemnie sobie dopomagają. Węgiel kamienny — ukrywający się w łonie urodzajnej i szczodrej matki-żywicielki — związek ten skojarzył, i popchnął równie pierwsze jak drugi po drodze wspaniałego — podziw budzącego — rozwoju i rozkwitu. Czego ten kraik nie produkuje?... Zda się wszystko: tkaniny wełniane, lniane, bawełniane, cukier, mydło, świece, broń, maszyny rolnicze, igły, noże, nożyczki, wyroby chemiczne... a produkcya tego tylko departamentu dostarcza państwu dwudziestą część ogólnych dochodów

budżetu narodowego. We wnętrzu ziemi — oprócz węgla kamiennego, który bezpośrednio i pośrednio go wzbogacił — posiada on jeszcze: cios, marmur, kredę i żelazo.... Nad temi skarbami, na powierzchni, mieszka i gospodaruje pożytecznie rasa ludzi dzielnych, przedsiębiorczych i wytrwałych, szczęśliwa mieszanina krwi gallo-romańskiej, hiszpańskiej i flamandzkiej. Ta ostatnia, posiadająca przymioty niezłomności, cierpliwości i pracowitości wrodzonej — przeważa, podnosząc trochę ciężkich ale twardych mieszkańców tutejszych nad powszechny, błyszczący ale lekki poziom francuskiego charakteru.... Człowiek do usposobień swoich stosuje i nagina zwykle całe swe otoczenie, nawet zwierzęta domowe. Ztąd też tu na sztucznych i naturalnych łąkach pasie się bydło rasy flamandzkiej, rosłe silnie, wytrwałe w jarzmie, korzystne przez wydajność mleka i mięsa. Śmiało można powiedzieć, że departament Północny jest krajem mlekiem i miodem płynącym, nie tylko bowiem cukrowary wydobywają dlań słodycz z buraków, ale i pszczołka skrzętna składa w białe, woskowe plastry miód przedziwny, używający rozgłosnej sławy.... Jest w bród czego dusza i ciało zapagnie; niczego nie brak... A jednak.... jednak niema wina, które rozwesela i którem Francya słusznie szczyci się przed światem. Mieszkańcy departamentu du Nord pić muszą tylko piwo — ale wyrabiają smaczne, z własnego jęczmienia i własnego chmielu.

Cała przestrzeń prowincyi wydaje się jednym wielkim miastem, którego dzielnice przegradzają wybornie uprawne pola i ogrody. Gdzie spojrzysz, za kobercem łąki lub za łanem zboża wznoszą się kominy fabryczne, dyszące ciemnym, kłębiącym się pod obłoki dymem. To osmuca cokolwiek krajobraz.... To też, o ile kraj ten jest bogatym, o tyle wydaje się monotonnym.



Wzgórz w nim nie dopatrzysz nigdzie prawie. Strumienie i rzeczutki zdają się wolno toczyć swe wody, poczerńiałe i zbrudzone od węgla, ścieków miejskich i odpadków fabrycznych. Całe urozmaicenie widoku stanowi kultura. Tu bujają falą łagodną pszenne lub żytnie kłosa; tu rzepak wonny, ciężki od tłustego oleju, kołysze się szeleszcząc wietrzykiem trącany; tam nać cukrodajnych buraków zakrywa ciemno-zielonemi liśćmi gęste bruzdy rzędowej, okopowej uprawy. Wzdłuż kanałów, dróg i gościńców bitych ciągną się aleje wysokich — do nadwiślańskich podobnych — topoli. Rzadko — gdzieniegdzie — lasy nie duże, raczej gaje. Wszystko, na czem oko spocznie, zda się tem samym miastem, temi samemi budowlami, do przemysłowych służącemi celów, temi samemi polami i ogrodami, tą samą równiną, od miejsca, w którym pociąg się zatrzymał aż do granic zakreślonych horyzontem.

Sznur wagonów stanął na minut parę w Hautmont i — zawsze wolno, ciężko, leniwo — potoczył się ku Sambrze, która, wypłynąwszy ze źródeł swoich w departamencie *de l'Aisne*, już pod Landrecies żeglowna, przebiega pod wałami twierdzy Maubeuge — następnej stacyi — aby po za nią, opuściwszy Francję pod Jeumont, wkroczyć do Belgii i gdzieś pod Namur utonąć w Mozelli.

Karol posiliwszy się, pomyślał o wetach.

Wydobył z torby koszyczek, zawinięty w gazetę, związany sznurkiem, wysłany liściem winogradowym i napełniony śliwkami. Po rozwinięciu papieru i odchyleniu liści ukazały się pyszne renklody, brunatno-zielonego koloru, nabrzmiące od przepelniającego je soku. Można było mniemać, że sok ten przedrze delikatną skórkę owocu i tryśnie fontanną słodyczy.

— Masz... zjedz jedną — powiedział Karol, zwracając się do Stasia z koszyczkiem, ciągle ciekawy zbadać, czy dziecko jest istotnie łakome i czy przez wzgląd na przysmaki garnie się do niego.

Malec skończył właśnie chleb z szynką.

Zbliżył się zatem na wezwanie, ale nie spiesząc się bardzo. Wziął jedną śliwkę w rączkę i wrócił na swoje dawne, obserwacyjne stanowisko, do drzwiczek, o które oparł się plecami, aby się znowu ojeu swobodnie przyglądać. W oczach dziecka malowało się przywiązanie, które, jakkolwiek niedawno, bo przed chwilą zaledwie, w takiej sile zbudzone, panowało już w serduszkach Stasia wszechwładnie.

Te wymowne oczy syna magnetycznie przyciągały ku sobie wzrok Karola.... I on zwrócił głowę ku dziecku i przyglądał mu się z zajęciem.

Wtem koła wagonu zazgrzytały przeraźliwie; musiały spotkać na szynach jakiś opór, jakąś przeszkodę, którą zgniotły.... Następnie dało się słyszeć stuknięcie dość głośne... Wóz zatrząsnął się, zachwiał... Drzwiczki, niezamknięte ani na klucz ani na klamkę, otwarły się gwałtownie na rozcież...

Chłopczyk, nagle pozbawiony oparcia, wypadł z wagonu... i zniknął w drzwiach rozwartych.

Pociąg, tocząc się dotąd powoli — jakby porwany w tej chwili jakąś siłą nadzwyczajną — pogonił naprzód lotem błyskawicy.

Karol, blady od wzruszenia, zerwał się na równe nogi i krzyknął okropnym głosem:

— Stasiu! dziecko moje!

Pierwszą jego myślą było wyskoczyć, rzucić się za synem, przekonać się czy żyje, ratować... ale chłodząca uniesienie rozwaga umiała go w czas powstrzymać. Rozpacz i boleść miotały naprzemian jego istotą, bo

czuł, że przerażający zgon dziecka stać się może śmiertelnym ciosem dla Amelii, którą kochał jeszcze... O! kochał on ją może więcej nawet w tej chwili niż przed wyjazdem... Urok wspomnień rozkosznych i pojętych — zbudzonych w samotności — zakłócał mu zmysły... Wyobraźnia ogrzewała i barwiła wspomnienia czarem nieopisanym... a jednak rozumował przytem, liczył, rachował... więc choć był odważny i niebezpieczeństw się nielekkał... rozumowanie przykuło go do miejsca.

Lokomotywa, lecąc teraz zdwojonym biegiem, gwizdała przeraźliwie.

Okropnem było to gwizdanie... Syczało, dźwięczało, świdrowało w uszach jak szyderstwo, jak urąganie, jak śmiech piekielny.

W kilka minut potem pociąg zatrzymał się w Maubeuge.

W jednej chwili Karol stanął na platformie, a porozumiawszy się z naczelnikiem stacyi, któremu na ucho — po cichu — smutny wypadek w kilku wyrazach opowiedział, ruszył w drogę po plancie kolei żelaznej, w towarzystwie jednego z urzędników i dwóch posługaczy, czy tragarzy.

Francuzi mają wady i wielkie, nigdzie jednak, w żadnym kraju na świecie całym, uczucie miłosierdzia nie jest gorętsze i nie objawia się szybciej i doraźniej jak we Francyi. Każde zdarzenie, tragiczne lub smutne, wywołuje tam sympatyę i współdział, równie indywiduów w jak i ogółu; każde nagłe nieszczęście budzi litość i chęć niesienia pomocy. Tradycya to po dziś dzień dochowana, nawskróś chrześcijańska, z krwią narodu tętniąca żywo w żyłach jego organizmu. — My, cośmy wiele złego z Francyi przyjęli, my, cośmy przywykli nazywać się *les Français du Nord*, nie posiadamy jej i nie przechowujemy w tym stopniu, tak wiernie

i święcie; nie umiemy nawet pod tym względem naśladować pięknego przykładu. Miłosierdzie nasze, ofiarność i dobroczynność bywają zbyt często chełpliwością i popisem tylko, rzadko zaś bardzo kiedy szlachetnem uniesieniem ducha, wrodzoną potrzebą serca kochającego bliźnich „jak siebie samego“. U nas, nawet zupełnie dobrych w czynieniu dobrze wedle Chrystusowej nauki, krępuje i ubezwładnia konwenans i co o tem powiedzą. Ach! to „co o tem powiedzą“, to istny kamień Syzyfa, przygniatający słabych i próżnych.

Ludzie, o których wspomnieliśmy wyżej — ów urzędnik i dwaj tragarze — bez wahania, bez namysłu, narzucili się niemal Karolowi z pomocą. obowiązek bowiem — określony przepisami — a ciężący na zarządzie kolejowym do tej liczby i tak daleko nie sięgał.

Słońce krwawe — zda się ponure i groźne — chyliło się ku zachodowi, ciskając na pola, zasadzone burakami — ukośne promienie. Te, obejmujące pnie topoli i białodrzewu lub cokoły kamienne i ceglane fabryk i domów, kąpały się w jakiejś jaskrawości czerwonej, przykrej dla oka.

Karol nie zdawał sobie sprawy, w którym miejscu i w jakiej odległości mógł Staś wypaść z wagonu. Powolny ruch pociągu, który nagle — zaraz po katastrofie — szybko biedz zaczął, nie pozwolił mu zapamiętać położenia, miejscowości i przestrzeni oddzielającej punkt wypadku od Maubeuge.

Szedł nasypem na oślep, ze straszliwym chaosem w głowie, z gwałtowną burzą w piersi. Egoizm osobisty i miłość dla Amelii toczyły z sobą walkę w jego sercu i głowie... Walka ta oddziaływała na nerwy, wydzielakone i rozluźnione słodkiem, pełnem rozkoszy pożyciem małżeńskim, szarpiąc je ciągle przykre

i fałszywemi dysonansami, jak smyczek nieudolnego grajka szarpł strunami rozstrojonego instrumentu. Nie się jeszcze w naturze jego nie ułożyło do równowagi, ani samolubstwo dziedziczne, ani uczuciowość i wrażliwość, wywołana namiętne kochaniem. . Przeciwnie, złe i dobre wpływy wydzierały sobie ster nad jego duszą, żeglującą obecnie na chybił trafił po wzburzonym morzu wzruszeń nieznanymi i nierozumianymi.

Towarzysze Karola, pragnąc uszanować jego smutek i niepokój, postępowali tuż za nim milezący, niemi — jak szczupła gromadka prawdziwych przyjaciół cicho idzie za trumną nieszczęśliwego nędzarza, którego życie tu na ziemi było pasmem zawodów, cierpień i rozczarowań. Jeden tylko z posługaczów — znający cały nasyp jak swoją kieszeń — wysunął się naprzód, pragnął bowiem pierwszy, jaknajspieszniej dotrzeć do fatalnego punktu, aby zbadawszy rezultat wypadku, wiedzieć, jak należy się zachować wobec strapionego ojca.

Po całodziennym upale, wietrzyk wiejący z północy, chłodził trochę powietrze — ale czoło Karola było w ogniu nieustannym. Szedł bez wiary, bez nadziei — pewny, że tylko ciało zabitego dziecka znaleźć może na drodze.

— Baczność! — krzyknął tragarz idący przodem i pomknął jak strzała.

Krew pełną falą uderzyła Karolowi z serca do głowy. . I on kroku przyspieszył. . . Na plancie widać było coś białego. . . To coś, zdawało się martwe i nieruchome.

Tragarz pędził co mu sił starczyło. . . Nagle zatrzymał się, stanął. . . . potem przysiadł na ziemi i z piersi jego wyrwał się okrzyk radosny.

— Żyje!

— Żyje! — powtórzyli urzędnik kolejowy i drugi posługacz postępujący za Karolem, jakby pragnęli być echem zdwojonem dobrej wieści.

Karol jeden tylko nie mógł słowa przemówić. Biegł zdyszany.. a przestrzeń, oddzielająca go od syna, wydawała mu się stumilową... długą, bez końca.

Na białym żwirze, nieopodal szyn kolejowych, leżało dziecko.

Wsparte na łokciu, podtrzymywało krwią zbroczone czoło. Jasne, wijące się w skręty włosy, zasłaniały część szeroko rozwartej blizny. Drugą rączką kreśliło jakieś zygzaki po szczerze tu rozsypanym piasku.

Ten piasek uratował mu życie.

Chłopczyk spokojny, zadumany, jakiś marzący, z główką zakrwawioną i rozpaloną, szeptał do siebie po cichu wyrazy bez związku.. Nie podniósł oczu na przybyłych, ojca nawet nie poznał... Gwałtowna gorączka objęła panowanie nad tem drobnem i wątłym ciałem....

Karol chwycił Stasia w ramiona, usta do czerwonej jego twarzyczki przycisnął, a przerażony ogniem, który z niej buchał, nawet skinieniem nie podziękował dobrym ludziom, tylko jak szalony, nie zdając sobie sprawy z tego co czyni, popędził po plancie... ku Maubeuge z powrotem.

---

### III.

#### Choroba dziecka i artykuł „Figara.“

Cztery tygodnie przepędził Karol w Maubeuge, czuwając nad dzieckiem niebezpiecznie chorem, z pieczołowitością, zaparciem się i poświęceniem, o które nikt z tych, co go dobrze znali, nie byłby go niezawodnie posądził. Wyrzucał sobie, że dał Stasiowi do wypicia w drodze aż trzy kubeczki wina.... trzy kubeczki jeden po drugim... przekonany, że ta potrójna libacja, niepomiernie przyczynić się musiała do zaostrenia stanu zapalnego, z jakim wątle siły chłopczyka pasowały się i walczyły na łożu boleści.

Nie chcąc przerazić żony i świekry — a szczególnie żony — nie pisał wcale do Paryża.

Uprosił naczelnika stacyi i osoby, które towarzyszyły mu w poszukiwaniach, aby o wypadku nikomu nie wspominały, szczęśliwym bowiem zbiegiem okoliczności policya nie wiedziała co się stało.

W czasie — w jakim przygoda przez nas opowiedziana miała miejsce — nie znano jeszcze i nie wprowadzono w użycie na francuskich kolejach żelaznych linki sygnałowej — przesuniętej wzdłuż całego

szeregu wagonów — którą pociągnąwszy, pasażer mógł wezwać o ratunek i pociąg w biegu zatrzymać, ale za trzymując, ujawnić zarazem niezwykle zdarzenie. Brakowi tego środka i oględnej, chłodnej rozwadze, jaką okazał Karol, przybywszy na stację, gdzie zwierzył się tylko nader szczupłemu gronu tych, których współudziału potrzebował — zaklinając ich, aby zachowali najściślejszą tajemnicę — przypisać należy, że władze administracyjne i sądowe nie zostały uprzedzone o wypadku, że śledztwa nie wyprowadzono, a bądź co bądź, niemiła dla zarządu kolejowego awantura, załatwioną została w czterech ścianach gabinetu szefa dworca. O wszystkim wiedzieli należycie tylko: ten ostatni oraz urzędnik kolejowy i dwaj tragarze, którzy wraz z Karolem odbywali peregrynację po nasypie. Nadto domyślali się czegoś: doktor, właściciel hotelu „Pod białym koniem“, w którym „młody turysta“ zatrzymał się z „chorem dzieckiem“ i służba, przywykła do widywania niemal co miesiąc rannych w pojedynku, przywożonych z granicy belgijskiej, aby się zbyt gorąco zajmować jakimś tam czteroletnim, skaleczonym chłopczykiem.

Pierwsze dwa tygodnie stan malca był bardzo niepokojący, powoli jednak czuła opieka ojca i zabiegi lekarza zwalczyły gorączkę. Staś przychodził do siebie, jak kwiat zważony upałem, który pod wpływem dobroczynnego deszczu, więdnięce już liście i płatki swej barwnej korony, wyprostowuje i w górę podnosi. Szeroka tylko blizna nadawała fizynomii dziecka wyraz surowszy niż dawniej, wyraz, nielicujący z dobrocią, błyszczącą w jego niebieskich oczach.

Chociaż tajemnica zdawała się dobrze strzeżoną i zachowaną sumiennie, jeden z ruchliwych reporterów *Figara* dowiedział się coś... piąte przez dziesiąte...



o wypadku, jaki się przytrafił na linii Północnej kolei żelaznej; mieszając więc prawdę z tendencyjnym zmyśleniem, w „kronice prowincjonalnej“ plotkarskiego dziennika, pomieścił co następuje:

„Przed kilku dniami, w odległości paru kilometrów od Lille, zdarzył się przypadek, który o mało nie zakończył się dramatycznie dla głównego, a nieletniego aktora, grającego pierwszą rolę w smutnej i niemoralnej tragi-komedyi. Hrabia X. Polak — jak wszyscy mniemają emigrant, podróżujący w politycznych celach z polecenia parysko-polskiego komitetu rewolucyjnego, wiózł z sobą małego, ośm lat liczącego synka. Ten, podobno gimnastyk zawołany, zaszczyt przynoszący instytutowi gimnastycznemu *p. C. Royer et C-ie 18 rue du Helder* — nauczony był oddawna podsłuchiwać rozmawiające, a wskazane mu osoby, które ojciec jego uważał za agentów śledzących lub rozciągających nad nim policyjno-opiekuńczy nadzór. W *coupé*, obok wagonu, w którym znajdowała się ta wcale nieinteresująca para, siedziało dwóch sekretarzy ambasady, jednego z wielkich, a zaprzyjaźnionych z nami mocarstw. Łatwo zrozumieć, że konwersacya tych panów interesować musiała w wysokim stopniu naszego hrabiego-rewolucyonistę. Skinął zatem na syna, a ten — zręczny jak małpka z cyrku Franconiego — wysunął się po cichu ze swego przedziału i w chwili, kiedy pociąg pędził całą siłą pary, stanął na stopniu sąsiedniego wagonu, tuż koło otwartego okna, przy którym rozmawiali swobodnie dwaj młodzi dyplomaci. Szcześnie... jeden z nich szmer skradania się posłyszał, otworzył zatem nagle drzwiczki i tak silnie małą ofiarę namiętności politycznych niemi uderzył, że chłopczyk zachwiał się i padł jak długi na szyny. Czy myślicie, że ośmioletni szpieg zabił się na miej-

„scu?... Ale gdzie tam. Jak kot wyrzucony przez okno  
„wywija w powietrzu koziółka i staje na cztery łapy.  
„tak i niebezpieczny rewolucjonista *en herbe*, podniósł  
„się w tej chwili, pył i kurzawę z sukienek swych  
„otrzepał i najspokojniej, pewny siebie, zdrów i cały  
„przybył po nasypie kolejowym do Lille, gdzie na  
„stacyi oczekiwał nań hrabia X, który w parę godzin  
„potem wraz z swoim obiecującym potomkiem puścił  
„się w dalszą drogę... *Mauvaise herbe croit toujours*“.

Tak we Francyi piszą wielką i małą historję.

Na czwartem piętrze przy ulicy Drouot, Amelia przeczytała artykuł powyższy bez wzruszenia, bez najlepszego przecucia. Przykro jej tylko było, że ulubiony dziennik jej matki, że „wesoły i dowcipny plotkarz“ oskarża jednego z rodaków jej męża o nیکczemność, rzucając nadto podejrzenie na wszystkich polskich wychodźców. Ale pani Lepelletier doświadczona, znająca *à fond* fabrykę skandalu, domyślała się, że pod zasłoną improwizacyi kryje się w tem wszystkim jakieś ziarnko prawdy.

Zadumała się.

Potem znowu wzięła gazetę do ręki i czytała dwuznaczne złośliwe wyrazy, pragnąc doczytać się tajemnicy między wierszami.

— Boże! żeby to tylko nie był Staś i Karol — pomyślała.

Ale pani Lepelletier nie umiała myśleć długo, zwłaszcza o rzeczy przykrej lub trudnej do odgadnienia... więc uśmiechnęła się do brodu i szepnęła:

— To być nie może... przecież Karol byłby telegrafował!

## IV.

### Ciotka Weronika.

W pogodny ranek wrześnieowy, najęta w sąsiednim miasteczku bryka, wioząca Karola i Stasia, zatrzymała się przed zamkniętymi wrotami na dworze pani Weroniki Dodalskiej.

Parobek - woźnica zeskoczył z siedzenia i nie bez trudu rozsunął podwójne skrzydła sztachetowej, starej, spróchniałej, ledwie na zardzewiałych zawiasach trzymającej się bramy. Poczem, podwoda wtoczyła się po drodze niewygracowanej i niezamiecionej, po słomie i suchych gałęziach — chrzęszczących i łamiących się pod kołami — aż pod ganek, do którego prowadziły schody o kilkunastu stopniach z potłuczonej, popękanej i wyszczerbionej cegły. Dwie kolumny murowane — z dawien dawna niebielone — podtrzymywały daszek gankowy, dziurawy, porosły tu i owdzie mchem zielonym, brunatnym, zczerniałym i popielatym. Ta różnobarwna pleśń roślinna, malowniczą gammą tonów bawiąc oko, rozścielała się i dalej po całym spadzistym, ostro-zakończonym, niezmiernie wysokim dachu, przykrywającym — niby olbrzymi stosowany kapelusz z czasów

Księstwa Warszawskiego — wielkie, długie domisko, na w pół z pruskiego muru i drzewa, a na w pół z kamienia zbudowane. Znać było, że przebywało ono różne koleje zmiennych losów, różne przekształcenia i restauracje. Trzymało się jednak krzepko jeszcze, usadowione wygodnie na grubym fundamencie, wystającym na trzy łokcie nad poziom gruntu, nad którym ciemne, zakratowane okienka obszernych piwnic ciekawie wyglądały na podwórzu. Pomimo cechy trwałości i siły, jaką rzeczywiście dwór posiadał — siły danej mu przez tych co go wzniesli przed laty — zewnątrznie przedstawiał się jak rudera, jak obraz nędzy, biedy i upadku, o jakich Karol nie miał wyobrażenia.

Niskie i chude chłopskie koniki, wbiegłszy truchtem na dziedziniec, spłoszyły stado gołębi, szukających żeru wśród śmieci. Spłoszone, jak chmura biała wzniosły się w górę, poczem spadły na dach, z kąd, gruchając, przyglądały się gościom. Pies owczarski, jasno - rudy, o sierści zbrukanej i jeżącej się jak na wilku, spał na ganku. Zbudzony turkotem kół i szczękiem łańcuchowych naszelników, zaskowyczał naprzód, jakby jeszcze przez sen, potem zaszczekał, potem podniósł się na łapy, ziewnął, wyciągnął i zbiegł obwąchać wyśiadających. To rekognoskowanie nie musiało go dostatecznie objaśnić, co zacz są przybyli, zaszczekał bowiem znowu donioślej i przeciąglej niż za pierwszym razem.

Staś, na widok zwierzęcia, usposobionego niezbyt gościnnie, przytulił się do ojca ze strachem.

Szczekanie wywołało ruch w domu. Okna frontowe, zasłonięte okiennicami, zaczęły się otwierać, a za jednym z nich gdzieś w głębi ozwał się głos:

— Zobaczno Kaśka, kogo dyabli tak rano przynieśli. Jeśli sekwestrator, to poproś do kancelaryi.

Po tych wyrazach zrobił się rumor w sieni, za drzwiami wiodącemi na ganek. Słysząc było odsuwanie zasów i rygli. Zardzewiały klucz zazgrzytał w zamku i Kaśka zaspana, z pierzem w rozczochranych włosach, bosa, w brudnej koszuli i brudnej spodnicy, ukazała się oczom przybyłych. Ci nie zdążyli jeszcze wejść na schody i wymienić się, kiedy dziewczka krzyknęła jak oparzona:

— O! dla Boga! rety... jacyś obcy.

Zawróciła lewo zwrot i popędziła przez pokoje, przewracając wszystko po drodze.

— Proś do salonu — ozwał się ten sam głos w głębi.

Kaśka, rumieniąc się po uszy i zakrywając oczy łokciem i ramieniem, wsunęła się napowrót na ganek, w chwili właśnie, kiedy Karol płacił furmanowi umówioną należność, a Staś, trzymając się ojca za fałdy odzieży, patrzył z obawą na Rozboja, z uporem i pewnem zdziwieniem obwąchującego dalej jego wytworne sukienki.

— Pani prosa do salonu.

— A to nas prowadź kochanko.

— Dobrze, proszę wielmożnego — tu zastanowiła się, patrząc na młodego mężczyznę, wyglądającego widocznie lepiej i wspanialej od dziedzica, sekwestratora i sąsiadów, bo dodała — proszę jasnego pana.

W sieni obszernej, zawalonej różnemi gospodarstwiemi rupieciami i gratami, które niedostatecznie zasłaniał na wpół zsunięty, podarty, papierowy parawan wisały na ścianach wieńce żytnie i pszeniczne, z wplecionemi między kłosa czerwonymi jagodami jarzębiny.

Karol zrzucił z siebie i synka płócienne okrycia i zaczepił je na gwoździu, przy blaszanym, jaskrawo

pomalowanym, muchami upstrzonym zegarze z ołowiem i wagami, pod którymi długie, o okrągłej, miedzianej tarczy wahadło kołysało się regularnie i ociężałe.

Kaśka, przejęta jakimś niemem, pełnym czci i uwielbieniem dla pana co trzymał wyżej głowę od bratniego z Zalesia, ścisnęła w rękę klamkę od drzwi na lewo, prowadzących do salonu i stała jakby wyciosana z głazu.

— No otwórz nam kochanko — rzekł Karol uprzejmie.

Kaśka posłusznie nachyliła klamkę. Podwoje — widocznie niezasunięte szczelnie — otwarły się na rozcież z hałasem.

Karol i Staś weszli do bawialnego pokoju. Piękna niegdyś posadzka zatrzeszczała i zaskrzypiała, uginając pod ich stopami czarne i białe, dębowe i gruszkowe tafelki, ruchome jak klawisze w olbrzymiej klawiaturze jakiegoś ogromnego a rozbitego instrumentu.

Umeblowanie składało się z kanapy mahoniowej, czerwonym wełnianym adamaszkiem krytej, z czterech foteli, dwunastu krzeseł, owalnego stołu, stojącego przed kanapą — wszystko w stylu *empire* — nadto z rogowej serwantki o lustrzanych ścianach z mnóstwem fraszek porcelanowych, wątpliwej wartości, ustawionych symetrycznie na pułeczkach, z białych muslinowych, dobrze przybrukanych firanek, różowymi wstążeczkami spiętych i z wytartego dywanu, który zaledwie dziesiątą część salonu przykrywał.

Kaśka już w salonie — ale ciągle jeszcze jakby przykuta do klamki, której z rąk nie chciała wypuścić, nieruchoma, mileżąca, przenosiła tylko szybko wytrzeszczone źrenice to z ojca na syna, to naprzemian z syna na ojca.

— Moje dziecko — rzekł Karol zwracając się ku niej — powiedz pani, że przyjechał jej brat z Paryża... rozumiesz... brat z Paryża.

— A czegożbym nie miała rozumieć... Juści brat jasnego Paryża...

— Ależ nie... posłuchaj... uważnie...

Pani Weronika musiała być gdzieś niedaleko.

Widocznie znając inteligencyę przedstawicielki swego fraucymeru, postanowiła sama — choćby przez szparę, choćby przez dziurkę od klucza — zobaczyć, kto dom jej tak wczesnie nawiedził i w danym razie nieść sukurs albo interweniować głosem z zakulis, jak to i w dyplomacyi często praktykowanem bywa. Słyszac, z jaką trudnością przychodzi gościowi porozumieć się z nawpół dziką i nieucywilizowaną pokojówką, zawołała :

— Drogi Karolu, zaczekaj momencik... ogarnę się tylko trochę i zaraz służyć ci będę...

— Ależ kochana siostró to niepotrzebne ceremonie... wyjdź, jak jesteś i pozwól się uściskać.

— Kiedy bo nie jestem ubrana... może więc nie wypada...

— Jakto nie wypada ... wszakże z bratem..

Nie skończył na widok siostry przyrodniej, która w tej chwili weszła do salonu. Karol wyciągnął ramiona, gotując się do uścisku, ale ręce wyciągnięte — chociaż umiał panować nad sobą — opadły jak ołowiane.

— Poszła precz... ruszaj do kuchni... fuknęła pani domu na Kaśkę, która, jakby prądem elektrycznym uderzona, wyskoczyła z salonu i znikła w sieni.

Pani Weronika musiała mieć przeszło lat czterdzieści. Na siwiejących już włosach w nieładzie, piętrzył się czepiec z szlarkami — czepiec naszych babek, w którym im tak było do twarzy — ale tu twarz

z czepcem nie tworzyły zgodnej harmonii. Zamiast białością swą uwydatniać niewieścią łagodność miłego oblicza, kładł przeciwnie pewien rodzaj nacisku, komentował, odstaniał malującą się na niem surowość, oschłość duszy, zaciętość, despotyzm. Duży i ostry nos dominował nad zwiędłemi, pargaminowemi policzkami, na których rozścielały się liszaje i plamy trądu, pełzające po powierzchni żółtego marmuru. Małe, piwne oczka, przesłonięte zwisłą i znużoną powieką, błyszczały wyrazem złośliwości, niezadowolenia i zawiści. Przyodziana była w kaftanik perkalowy, popielaty, spadający na czarną, krótką, wyszarzaną spódnicę, z pod której wyglądały duże logi, w przydeptanych skórkowych trzewikach. Na ręce chudej, spalonej od słońca, zarobionej — ślubna obrączka wpijała się w serdeczny palec, do połowy obwinięty białym gałgankiem i ściśnięty kilkakrotnie go okalającą nitką czarną. Była brzydką... ale niedość na tem.. brzydota jej odrębna i szczegółna wywoływała mimowolnie wstręt i odrazę.

Karol, przemógł się po chwilowem wahaniu, i pospieszył siostrę uściskać. Poczem wziął Stasia za rączkę i rzekł do niego po francuzku :

— Ucałuj twoją ciotkę.

Stas, zniewolony łagodnym ale zarazem rozkazującym głosem ojca, chociaż czuł, że go coś odpychało, zbliżył się do pani Weroniki i złożył pocałunek na jej rękę. Ta nie odwdzieczyła mu się pieśszczotą, tylko tonem, w którym ukrywała się tajona pogarda i niechęć, spytała :

— To pewno synek pana brata?

Karol skinął głową przytakująco.

Dodalska, która o moralności i obowiązkach społecznych, rodzinnych i obywatelskich miała dość nie-



zwykłe i indywidualne pojęcia, należała jednak do niewiast surowych obyczajów. Zasady, równie jak i interes, kazały jej nie wierzyć w prawowitość związków małżeńskich swego przyrodniego brata. Jego dziecko — dziecko nieprawe — było dla niej czemś gorszem i nizezemniejszym od najlichszego z robaków. Nie chciała jednak ujawniać przed Karolem swoich przekonań w tym względzie, szybko zatem zawróciła rozmowę na inne tory.

— Nie spodziewaliśmy się ciebie, drogi bracie... Oczekiwaliśmy przed miesiącem, bo tak z twego ostatniego listu sądzić należało... Ponieważ w ciągu tego czasu nie otrzymaliśmy nowego pisma, więc zwątpiliśmy, czy przyjedziesz. . . Kubuś, który bardzo cię kocha, chociaż nie zna, musiał udać się wczoraj za interesami do Siedlec i Lublina.... Ze dwa tygodnie zabawi tam pewnie....

— Żałuję mocno, że nie poznam mego szwagra, dziś bowiem.... a najdalej jutro ... muszę jechać do Warszawy.... Powodem spóźnienia wypadek....

Tu opowiedział zdarzenie, które znamy z poprzedzających rozdziałów.

— Nie chcesz wypocząć u nas dłużej — mówiła po nim siostra — nie dziwię się i nie zatrzymuję. Ty, przyzwyczajony do zbytków zagranicznych, do luksu, do przepychu, nie mógłbyś znieść naszej biedy.... Tak, tak, drogi bracie, nędma się tu u nas przelewa przez brzegi. Serce się kraje, pomyśleć, że milionowy ojciec, ojciec rodzony, taki nieczuły, taki obojętny dla swojej córki....

— Ale ojciec... mówże mi o ojcu... Jakiż stan jego zdrowia?

Pani Weronika ciężko westchnęła.

Kara Boska... stan jego zdrowia niedobry... bardzo zły. Pono jeść nie może, z trudnością pokarm przełyka, a jak mi pisała Bolewska, od trzech tygodni leży w łóżku. Hilary i Ignacy, ci krętacze, samoluby, juryści, siedzą w Warszawie i czyhają na sukcesyę. Ja się modłę, ale nie jadę, bo nie mogę oderwać się od gospodarstwa... Kubuś dobry, poczciwy, jak mało ludzi na świecie, lecz niedołęzny... Powiadam ci dziecko, niemowlę... jemuby tu wszystko z przed nosa rozkradli... a potem ja nie umiem się przymilać, nie jestem układną, na dwóch łapkach jak piesek służyć nie potrafię... prosta ze mnie, uczciwa i nieszczęśliwa kobieta. — Coś, jak łkanie odezwało się w piersi Dodańskiej; przyłożyła chustkę do oczu. — Żal mi biednego chorego... ale niechciałabym, aby ojciec pomyślał, że tak jak starsi moi bracia, czekam tylko na jego ostatnie tchnienie...

Karol potarł dłonią zachmurzone czoło.

Muszę jechać... dziś jeszcze pojedę do Warszawy.

— Dobrze, jedź drogi bracie... On cię kocha... pewno ci przebaczy, a jak przebaczy, nie zapomnij o biednej siostrze, potrzebującej pomocy i ratunku.

Staś, wytrzęsiony na bryczce, którą z ojcem przyjechał, uczył nagle gwałtowny apetyt. Objął Karola za kolana i szepnął:

— Chcę ci coś powiedzieć.

Karol nachylił ucha.

— Tato ... jeść... ja bardzo głodny.

— Co on mówi? — zapytała pani Weronika, nieposiadająca języka francuskiego.

— Czy mogę cię prosić kochana siostrze o śniadanie dla mego malca?

— O śniadanie... a jakże, a jakże... ja tu gadu gadu... więc zapomniałam, żeście kilka mil z okładem

dzisiaj ujechali... żeście na czezo.... Oj! głowa moja, biedna głowa... Kaśka! Marysia!.. kawy, herbaty, masła.... Proszę cię kochany bracie za sobą; chodźmy do jadalnego pokoju.

Jedyną cnotą pani Weroniki była gościnność. Ostatni grosz oddałaby chętnie, aby tylko przyjąć należycie odwiedzające jej dom osoby. Sute też przyjęcia pochłonęły znaczną część skromnej fortunki.

Wprowadziła Karola z synem do długiej, wąskiej komnaty, w pośrodku której ciągnął się stół olbrzymi, przykryty brudnym, poplamionym obrusem. Na prawo i lewo przytykały do ścian dwie duże szafy oszklone i kilkanaście krzeseł rozmaitych kształtów. Były tam mahoniowe, wyścielane i gięte, wiedeńskie wyplatane — i starożytne dębowe zydle o oparciu rzeźbionem. Przez szyby wielkiego weneckiego okna — na którym stały talerze z trucizną na muchy — widać było sad z drzewami owocowymi i tuż pod oknem kilka krzaków malw, o czerwonych i żółtych, pojedynczych, chudych, nędznych, spalonych przez słońce kwiatkach.

Marysia!.. Kaśka! — wołała Dodalska coraz głośniej.

Drzwi boczne — szafą przed oczami przybyłych zasłonięte — otworzyły się gwałtownie, a z nich buchnęła ostra woń czosnku, cebuli i starej słoniny, na której smażyły się ziemniaki. Z wonią razem, wpadła i Kaśka, już umyta i uczesana, pomimo to jednakże ani czysta, ani bardziej przytomna.

— Kawy dawaj! — wrzasnęła pani domu.

— Kaj kawy nie ma; ostatek wysedł na podwiecorek dlo księdza probosca.

— A! prawda; zapomniałam.... No to żwawo samowar nastawić, skoczyć na folwark po masło — i zwracając się do Karola, rzekła: — Napijcie się herbaty?

— Staś herbaty nie pija, ale może jest trochę mleka dla dziecka.... Ja z siostrą posilimy się razem, później... teraz tylko o dziecko mi chodzi... Szklaneczkę świeżego mleka i kawałek chleba wystarczy.

Kaśka, zbliżyła się mierzonym krokiem do gospodyni domu, i nachylając się jej do ucha, mruknęła niby cicho, tak jednak, że i za oknem można by było ją usłyszeć.

— Kaj i mlika nie ma... Zyd cały udoj dzisiaj zacharapcił.

Pani Weronika zasłoniła twarz rękami.

Karol spytał:

— A chleb jest?

— Jest proszę wielmożnego — i poprawiając się dodała — jasnego pana, tylko co upieczony... zara psyniosę.

Wybiegła i wróciła z wielkim bochenkiem jeszcze gorącym.

— Dobrze, już dobrze, idź teraz nastawić samowar — jęczała upokorzona i zmartwiona Dodalska.

Kaśka, jak żołnierz, wykonała frontowe lewo zwrot i lekka — niby bomba — wpadła do kawiarni czy kredensu, znajdującego się obok jadalnego pokoju. Tych subordynacyjnych poruszeń nauczył ją Kubuś, rozmiłowany w mustrze i żołnierce, chociaż nigdy wojskowo nie służył.

— Widzisz panie bracie, choćbym chciała, nie mogę przed tobą ukryć mojej biedy. Bóg świadkiem, że radabym cię przyjąć jak najlepiej. — (To mówiąc, nie kłamała) — a tu nawet mleka dziecku twemu dać nie mogę; o! bo siostra twoja, u siebie na wsi, często wszystkiego pozbawioną bywa.... Boże! Boże! kiedyś się ta nędza skończy!

Wyjęła nóż z szafy i zaczęła krajać chleb w duże kromki.

— Masz tu mały — rzekła z westchnieniem, podając jedną z nich Stasiowi.

Staś po raz pierwszy w życiu widział chleb razowy; nie zdawał nawet sobie sprawy — nie rozumiał bowiem prowadzonej przy nim rozmowy — co to jest to coś czarnego, czem go ciotka częstuje. Kiedy poczuł w ręku kawał ciężki, ciepły, lepki, dymiący parą, opanowała go jakaś obawa, jakiś wstręt nie do opisania. Rozpłakał się i rzucił chleb na ziemię.

Rudy płomień złości i oburzenia zapalił się w małych oczkach pani Weroniki. Załamała dłonie, a załamując je, uraziła się w skaleczony, gałgankiem obwiązany palec. Syknęła z bólu... Cała jej twarz trędownata, oblała się gorącym, podobnym do trądu rumieńcem.

— Twój syn dar Boski ciska na podłogę!... twój syn chleba nie szanuje... depta go nogami! (Staś ani ruszył nóżką) — to źle, panie bracie, to ściąga niebłogosławieństwo nieba... tak dobrze urodzone dzieci nie robią.

Wyprostowała się pełna dumy i świętego gniewu. W wyrazach: „dobrze urodzone“, zamknęła potępienie bez apelacji i pogardę bez granic. Wyrok, jaki teraz w głębi duszy wydała na Stasia, już nie mógł być cofniętym.

— Dziecko, co rzuca chlebem o ziemię — myślała — musi być dzieckiem nieprawem.

Darmo Karol objaśniał i tłumaczył, że chłopczyzna, wychowany w Paryżu, nie znał innego chleba, prócz pszennego, białego... nic nie pomogło

W kwaśnem i skwaszonym sercu bezdziejnej ciotki Weroniki, nie lubiącej dzieci w ogólności, szczególnie

zaś nieprawych ; w sercu z góry jaknajgorzej usposobionem dla bratanka, załagł się robak jakiejś zupełnie odrębnej nienawiści dla Stasia, silniejszej i wyraźniej określonej, niż do całej ludzkości, niż do starszych braci, niż nawet do ojca, pana Filipa Mowelskiego, którego o wszystkie swe nieszczęścia obwiniała. Pomimo to, dyplomatką w swoim rodzaju jakich mało, umiejająca ukrywać przedziwnie myśli swoje i uczucia, w ciągu całego dnia nie zdradziła nienawiści, z każdą chwilą rosnącej i wzmagającej się w jej piersi. Uproszona przez brata — wśród najczulszych protestacyj przywiązania i przychylności, wśród przysięg i zapewnień, że zajmie się dzieckiem jak matka — zgodziła się przyjąć Stasia w gościnę na parę tygodni i pilnować „jak oka w głowie“, dopóki Karol nie powróci i nie zabierze go z sobą do Warszawy.

Co w zamian brat jej przyrzekł, dowiemy się z dalszego ciągu opowiadania.

Karol opuścił Krasnosójki — tak się nazywała wioska pani Weroniki — późnym wieczorem. fornałskimi, zmęczonemi całodzienną pracą końmi, udał się do miasteczka, z kąd pocztą puścił się w drogę ku stolicy, po ojcowskie błogosławieństwo, przebaczenie... i spadek.

Staś, nie domyślając się nawet, że go ojciec porzucił, spał spokojnie i cicho. Śniło mu się, że mama i babcia siedzą na wysokiem wzgórzu i patrzą na niego... a on idzie przez zieloną łąkę, wśród kwiatów uśmiechających się barwami... idzie daleko, daleko... długo, długo... aż gdzieś do słońca... W pośrodku słońca stoi tato i czeka na niego, spogląda jak w Maubeuge, kiedy go nie opuszczał ani na chwilę i zmieniał zimne okłady na jego okaleczonej główce.

Oj! te sny dziecinne... sny urocze!

## V.

### N a w s i.

Mijały dni, tygodnie, miesiące — a Karol nie wracał i nie wracał.

Z listów jego i listów Bolewskiej — dalekiej krewnej, mieszkającej w Warszawie — łatwo doczytać się można było, że pan Filip coraz słabszy, ale zawsze uparty i zacięty, syna nie przyjął i przebaczenia swego mu nie udzielił.

— Niedarmo — mówiła pani Weronika do męża — siedzą tam i starego pilnują Hilary i Ignacy. Oni Karola do papy nie dopuszczają... ci krętacze, juryści.

Dodalska, której reprezentanci prawa i administracji: sędziowie, podsędkowie, adwokaci, komornicy, naczelnicy powiatu i sekwestratorzy — objęci w jej wyobrażeniu jednym, ogólnym mianem jurystów — dokuczali nieustannie od rana do wieczora, nie znała bardziej poniżającej nazwy. Kiedy chciała o kimś powiedzieć, że nie nie wart, łotr, szachraj — mówiła: „jurysta i basta“.

Kubuś, powolne narzędzie wszelkich jej projektów, spełniający wszystko, co kazała od *a* do *z* bez rozumo-

wania i namysłu, widząc jak sama zręcznie obchodziła prawo, wykręcając się od wierzycieli i grożącego oddawna wywłaszczenia, mruzczał sobie cichuteńko pod nosem :

— Żoneczka wymyśla na jurystów, a przecie z niej także tęgi jurysta.

Ale zdania podobnego nie wygłosił nigdy w obecności Dodalskiej, wiedział bowiem, czem to pachnie i że z „żoneczka“ żartować nie można.

Dziwny, choć dość pospolity typ był ten Kubuś poczciwy.

Wysoki, barczysty, silny jak niedźwiedź, a łagodny niby baranek, zaczął karierę jako ekonom, czy rządca w rozległych pańskich dobrach. Pracował na cudzem wiernie i sumiennie, kiedy niespodzianie po zamożnym stryju — proboszczu w Hrubieszowskiem — spadło nań kilkanaście tysięcy złotych polskich sukcesyi. Za nie wziął w dzierżawę wioseczkę w sąsiedztwie Mowelskiego. Tu djabeł — pod rozmaitemi postaciami czyhający na dobrych a słabych — wyswatał go z Weroniką. Za posag żony i grosik własny kupił duże ale mocno zadłużone Krasnosójki i poszedł pod pantofel brzydkiej magnifiki, która go może i kochała — po swojemu — ale poznawszy, że ma do czynienia z miękkim jak wosk charakterem, szybko złamała w nim wolę, naginając słabego olbrzyma do wszystkich szachrajstw, podstępów i wykrętów, jakie mózg jej — obfity w wybiegi — wymyślić zdołał, w celu utrzymania i wyratowania majątku. Kubuś z początku się opierał; przekonawszy się jednak że pani Weronice nie sprosta i nie poradzi, zawojowany zupełnie, zdał się na łaskę i niełaskę — i posłusznie spełniał rozkazy, niechęć się nad niemi zastanawiać, obawiał się bowiem wyrzutów sumienia i zawrotów głowy...



Ile razy chciał zgłębić jedno z poleceń żony, sumienie nie dawało mu spokoju, a w głowie kręciło się jak po ślepej babce.

Mawiał bywało:

-- Człowiek względem żoneczki powinien się zachować jak żołnierz względem oficera. Stój.... stoi. Lewo zwrot.... zawraca. Marsz... maszeruje i kwita. Nie penetrować o co idzie, to lepiej i zdrowiej.

Co wygłosiwszy, prostował swoją olbrzymią postawę, głaskał gęstą brodę, pokręcał długie, sumiaste wąsiska i konkludował:

— Człowiek żoneczki słucha; więc zdrów.

Nie dość że sam był doskonałym szeregowcem, ale jakby pragnął przysporzyć sobie towarzyszków, ulegających narzuconemu z góry regulaminowi, mustrował dziewczki i parobków folwarcznych, że czuj duch spełniali wolę pani Weroniki i wykręcali się zwrotnie jak żołnierz na komendę. Bawiło go to trochę... i pocieszało.

W naturze ludzkiej jest coś z owczej natury. Popęłnić głupstwo, błąd, nawet przestępstwo i zbrodnię, aby razem, aby gromadnie ... jakoś weselej i przyjemniej. Nie dziw więc, że Kubuś, baranek nad barany — chciał mieć w około siebie całe stado posłusznych, na obraz i podobieństwo swoje wymustrowanych.

Służba domowa lubiła go bardzo i słuchała więcej z przychylności, z przywiązania, niż z cbawy i strachu, chociaż krzyczał donośnie admirałskim, czy też generałskim głosem:

— Naprzód... stój... równaj się... lewo zwrot... na prawo... a ruszaj... marsz!

Nawet Staś, brutalnie odsunięty od domu i rodziny — do wuja — kiedy ciotka nań nie patrzyła — lgnął duszą całą. Cóż, kiedy poczciwy Kubuś nie mógł się z dzieckiem rozmówić, bo „mały Francuz“ — tak

Stasia nazywano — po polsku nie umiał; na poprawę zaś losu dziecka wpłynąć nie był w stanie, gdyby bowiem zapragnął go odmienić, musiałby sprzeniewierzyć się subordynacyi i wyłamać z jarzma, dźwiganego dość ohocho i raźnie.

Pani Weronika, po wyjeździe Karola, obchodziła się ze Stasiem całe dwa tygodnie jak z bratankiem, jak z panięciem, zasługującym na względy. Dwa tygodnie, co do godziny, trwała dobrą komitywa między nim a ciotką... Trwała, bo miała się suto opłacić... ale po upływie pierwszego terminu, oznaczonego na powrót Karola, kiedy ojciec opuszczonego malca nie przybył, a jeden i drugi list niezbyt pomyślne o rokowaniach z panem Filipem przyniósł wieści; udana przychylność ostygła w oka mgnieniu.

Z początku, Kaśka, wydelegowana do nadzorowania panicza „jasnego brata“, włóczyła się za dzieckiem od świtu do zmroku i z oka go nie spuszczała.

Pewnego poranku otrzymała rozkaz powrócenia do swych dawnych służebnych zajęć, a Staś tułał się odtąd samopas z kąta w kąt po domu lub po sadzie i po dziedzińcu. Szczęściem, Rozbój — czulszy od ludzi — przywiązał się do dzieciaka, nie opuszczał go i czuwał nad nim z pieczołowitością nianki. Ale i ta przyjaźń wydała się Dodalskiej zdrożną. Psa uwiązano w budzie na łańcuchu i pozbawiono małego Oresta opieki czworonożnego Pylladesa.

Z początku Staś sypiał w łóżku Kubusia, pan zaś domu ulokował się w spichlerzu... Ale kiedyś, przyjechał sąsiad, którego uczyć i przenocować należało. Posłano mu więc w kancelaryi, a chłopczyzna prześpał się w olbrzymiej pace drewnianej, stojącej w pustym pokoju za jadalnią i kredensem. W pakę tę składano brudną bieliznę państwa i domowników. Raz

w niej na nocleg zainstalowany, już tam zawsze sypiać musiał. Przed walnem praniem, w ciągu miesiąca, było mu w pace dość wygodnie, miękko i ciepło — chociaż w zimie izby tej nie opalano — ale kiedy tak zwane „brudy“ wydobyto i wyniesiono do pralni, dziecko kontentować się musiało gorszem od Rozboja legowiskiem.

Z początku, ubierano Stasia co dzień w ładne, przywiezione z Paryża sukienki, sadzano przy stole, obdzielano potrawami, sporządzanemi dla pani Weroniki i jej męża, dawano chłopczynie na podwieczorek owoców, chleba z miodem, konfitur i śliwki na rożenkach — chociaż w przysmakach podobne dom był nader skąpo zaopatrzony — ale w miarę jak czas upływał, a zewnętrzna postać rzeczy — ze względu na spadek po Mowelskim — najwidoczniej się zmieniała, wytworne sukienki poszły pod klucz, do żelazem okutego kufierka. Przystrajano w nie dzieciaka wtedy tylko, kiedy ksiądz proboszcz lub ktoś z gości przyjechał, ciekaw zobaczyć i poznać „małego Francuza“.

Na codzień Staś nosił zgrzebną koszulkę, krajką przepasaną, jak chłopskie dziecko.

Buciki się zdarły — nowych mu niesprawiono, chodził zatem boso. Stołował się w czeladniej kuchni z dziewczkami i parobkami, którzy mu wprawdzie krzywdy nieczynili, świadcząc o swej życzliwości karmieniem „ile w okruszynę wlaźło“, ale z którymi obcując, nauczył się wyrażenń grubiańskich, przejął ich sposób wymawiania, wadliwy i pospolity. W ich to otoczeniu — przyswajając sobie powoli i z trudnością język polski — „mazurzył“ jak pierwszy lepszy fornał lub owczarek.

Nie dość na tem. Pani Weronika — niecierpiąca próżniaków — postanowiła małego „darmozjada“ zamienić na czynną i pożyteczną siłę gospodarczą.

W departamencie pasania brakło naczelnika. Posadę tę powierzyła ciotka Stasiowi. Ułamano mu z wierzbiny nad sadzawką „chlubę“ wspaniała.

Chlubą zowie się gałąź, którą pastuszek lub pastuszka zawraca uparte kapitolińskie ptaki z posiewów ozimych, aby nie czyniły w nich straszliwej, nigdy dostatecznie ocenionej szkody.

Staś bał się gęsi okropnie.

Bywało stanie na kamieniu i przemawia po francusku:

— *Allons... allons... voyons... méchantes bêtes!*

Ale biało - upierzona komenda ani go słucha.

Poznawszy widocznie w Stasiu cudzego, nieznanego ani obyczajów miejscowych, ani języka — niewyrobionego w doświadczeniu — wodza, odmówiła mu posłuszeństwa, nie chcąc poddać się za nic w świecie. Całe stado leciało z podłącza w kielkującą pszenicę i żyto, a kiedy biedny chłopczyk podążał za niem ze swą chlubą w rękę — którą ledwie mógł udźwignąć — pragnąc zbuntowane szkodnice nawrócić, — te, długie swe szyje wyciągały, jak węże, syczały i szły prosto na niego z taką złością i impetem, że Staś przestraszony tył podawać musiał; — za co też nie mijała go chłosta wieczorem.

Chłosta mu dobra ciotka nie szczędziła nigdy, mówiąc:

— Trzeba bić to doniczego, tę zakałę w rodzie... może się coś wybiję.

Nie każdy odgadnąłby zdołał, jaki wpływ wywierało na biednym dziecku takie postępowanie, wśród kolei, pozornie pospolitych, a jednak niezwykłych, jakie Staś przechodził. Naprzód więc powiemy, że fizycznie hartowały go one i wyrabiały. Świeże powietrze, niewygody, ruch nieustanny i wiele — chociaż może

niezupełnie zdrowego — pokarmu, rozszerzyły mu piersi, mięskułom dały giętkość i stalową siłę.

Pod moralnym względem było gorzej... jednakże nie tak źle, jakby się zdawać mogło.

Natura ułała Stasia z czystego i bogatego materiału, na który czynniki ujemne i rozkładowe podobnego wychowania nie oddziaływały tak zgubnie, jakby to przypuszczać należało. Wola jego tylko, ledwie kiełkująca, złamana potęgą przemocy i dzikiego despotyzmu pani Weroniki, osłabła zupełnie. Chłopczyzna co tylko robił — robił z widocznym wahaniem, wynikiem strachu; albo — doprowadzony do ostateczności — zamykał się w uporze, często bezmyślnym. W ten jakiś pozornie nieczuły i twardy upór, chował on swoje „ja“ moralne; jak żółw, kryjący głowę i nogi w skorupę przed natarczywością zewnętrznych wpływów. Bierna opozycja — nie wyrażająca się ani nadmiarem podejrzliwości, ani wybuchem gniewu, ani zbyt ujawnionem oburzeniem — stała się udziałem jego charakteru. Czas jakiś zawsze naciskowi ulegał, szedł koleją, w którą go wepchnięto, czynił co mu kazano, nie sprzeciwiał się, nie przeczył, a swoją drogą — w danej chwili — wbrew wszystkim i wszystkiemu, postąpił jak mu się podobało, a raczej, jak tego chciało jego serce, pełne nieskończonej, bezmiernej dobroci. Na warunkach, w jakie go ciężki los wtłoczył — cierpiał nieraz umysł jego, inteligencya, nie umiejąca w ciemnej nocy dopatrzeć się gwiazdy sprawiedliwości... nigdy serce.

Ma się rozumieć, całe usposobienie wewnętrzne i kształtowanie się jego istoty duchowej dawało się tylko ocenić przez przypuszczenie, przez domysły; obserwacya bowiem zaczątku człowieka, zwanego dzieckiem, jest niezmiernie trudną. Badanie w tym kierunku dokonywa

się trochę omackiem, na oślep, nie wszystkie bowiem objawy fenomenów psychicznych są jasnym i wyraźnym odzwierciedleniem psychicznych przyczyn i powodów zdefiniowanych ściśle; — zwłaszcza, kiedy chodzi o dziecko, wyrzucone nagle z ciepłego, macierzystego gniazdką, w którym, nie zaznawszy nic prócz pieczęci i błęgiego spokoju, nie mogło się zacząć rozwijać.

Staś — na ulicy Drout — drzemał pogrążony w stanie umysłowym sennym, wspomnieniowym, przejściowym, chaotycznym, na którym tylko fotograficznie zaczynały się odbijać wyobrażenia rzeczy i pojęć ziemskich. Podróż i wypadek na kolei, zbudziły go nagle do życia, z którego nie zdawał sobie sprawy. Pobyt zaś w Krasnosójkach wprowadził go od razu w pełnię walki życiowej, lecz w chwili, kiedy ani ciało, ani umysł, ani serce nie opancerzyły się jeszcze, ani uzbroiły w potrzebny do boju rynsztunek; kiedy malutki rycerz był prawie nagi, przedstawiając samą cyfrę niewiadomą... może zero... mgłę, pajęczynę, zaledwie pierwiastek ducha, z którego — jak motyl z poczwarki — wykluć się dopiero miała dusza ludzka. To niespodziane zetknięcie się z rzeczywistym światem, z jego prozą nikczemną i pospolitą, przychodząc zbyt wcześnie, nie raniło i nie psuło natury czystej i bogatej. Nie rozbudzało jeszcze zmysłów — pierwszych przewodników i pośredników złego; — nie gasiło świętego płomienia, ręką Bożą zapalonego w serduszkach. Co najwyżej — oprócz nadwężenia woli — osłabiało pamięć, czyniąc ją także mglistą, mętną, zachmurzoną. Tu jednakże, wyobraźnia podjęła się roli opiekuńczej i ochronnej. Wrażliwa, czuła, pozwoliła Stasiowi przechować pewne wspomnienia z przeszłości, do których — w śnie i na jawie — biegł często myślą, czerpiąc z nich mimowiednie siły i wytrwanie. Tak

na przykład, wszystko co poprzedziło krasnosójecką martyrologię, przedstawiało mu się jak jeden wielki obraz. Tło było w nim wprawdzie zamglone, ale złote, świetlane, promienne — coś niby nieskończoność bez granic, czego okiem przejrzeć do dna nie można. Na tle takim — już odległe i szare, ale piękne jednak i pełne uroku — rysowały się postacie matki i babki. Na najbliższym planie, najmocniej i najjaskrawiej zabarwiony stał Karol... dobry, uśmiechający się, miły... Karol z Maubeuge.

Pozbawiony swoich ideałów najwyższych, ideałów jak marzenie rozpływających się w wspomnieniu — coraz niejaśniejszem ale coraz bardziej świetlanem — blaski z nich przenosił na rzeczy realne, codzienne niekiedy nawet przykre. Często na przykład szedł do budy Rozboja, aby pocałować i popieścić poczciwe, szczerze mu przychylnie psisko.... I z gąsiorami i gąskami porozumiał się po jakimś czasie.

Głupie ptaki lekcewały go długo, aż nareszcie poznały się kiedyś na nim.

Pewnego razu, gąsięta zaprowadzone przez nie-mądrzejszą od zwykłych matkę na staw, w gęste sito-wie, zabłądziły wśród trzciny wysokich. Powstał pisk i gęganie ogromne, bo małe trafić nie mogły ani na brzeg ani na czystą wodę. Cała gromadka rozbijała się jak grosz w bębenu, szukając wyjścia z tego szwarowego matecznika... ale na próżno. Matka, goniąc za jednym, traciła z oczu drugie. Trwało to kilkanaście minut, może z ćwierć godziny; wiek cały dla matki głupiej — lecz matki. Nareszcie zebrała w około siebie cały żółty drobiazg i marsz... sama przodem... na kryształową powierzchnię stawu. Pływie spokojnie, poważnie, swobodnie, aż nagle coś ją tknęło i obejrzy się za siebie. Strach!.. Widzi jak paszcza rozwarta szczupaka —

czyhającego przy podwodnej kępie błota, porosłego strzałkami — strzałkolistnymi — chwytą jedno po drugim jej żółte głupiątko. Dopieroż lament i troska!... Cały żywy pozostały drobiazg, przerażony okropnym widokiem, zawrócił w sitowie i choć się ściemniało, choć czas na spoczynek, z oczeretów wyrzeć nie chce. Co na to jedna głupia gęś — chociaż matka — poradzić zdoła?! Szcześciem Staś przyglądał się całej przygodzie.... Wlazł w trzciny i jedno po drugim gąsiątko wyniósł na ląd stały.

Od onej chwili pomiędzy wodzem a komendą zapanowały stosunki przyjazne, a dziecko nie potrzebowało już „chluby“, aby całe stado z pszenicy zawrócić bez oporu i sykania ze strony gęsi i gąsiorów.

Z czeladzią żył Staś w bratniej zgodzie, dla każdego gotów do usługi i pomocy. Z dziećmi wiejskimi dzielił się swoim podwieczorkiem, czarnym chlebem — owym pogardzonym czarnym chlebem — którego biedni ludzie nie mają nieraz na wsi podostatkiem. Czasem ukradkiem Kaśka lub Marysia dały mu kawał sera, kwaszony ogórek lub jabłko spadłe z drzewa — i te specyały chętnie oddawał swoim małym towarzyszom, nie pokosztowawszy nawet. Za Kubusiem — za to, że go kiedyś pocałował za śpichlerzem — przepadał; a kiedy był pewny, że go pani Weronika nie podpatruje, biegł za wujem jak piesek i niemal jak piesek gotów mu był lizać dłonie.

Potrzebował kochać i kochał wszystkich i wszystko. Rozboja, gęsi, parobków, dziewczki, chłopców ze wsi, Kubusia... kto wie?... może nawet i ciotkę, chociaż tej lękał się jak ognia i drżał na sam jej widok, a strach nie bywa nigdy dobrym konduktorem miłości.



Pod daszkiem, między kolumnami rozpoczęły się przywitania, nader gorące i serdeczne. Słychać było z daleka pocałunki, okrzyki i uściski.

— Franio! patrzcie no go.... a toż to prawie mężczyzna — mówiła pani Weronika, głaszcząc po twarzy bladego, o czarnych, intelligentnych oczach paniczka, który grzecznie się schylił, aby ją pocałować w rękę z wiecznie skaleczonym i gałgankiem obwiązanym palcem. — Powiedz.... Więc to prawda, że już skończyłeś gimnazyum?

— Dziewięć miesięcy temu, proszę pani — odparł zagadnięty. — Byłbym już nawet wyjechał na uniwersytet do Petersburga, gdyby nie ta przekłeta febra.... Jak mnie złapała po egzaminie dojrzałości w czerwcu, w roku przeszłym.... tak dopiero teraz przed dwoma tygodniami opuściła.

— Prawda, prawda.... zmizerniałeś, pobladłeś.... ale ci z tem do twarzy.

Franuś się zarumienił

— A Jania! patrz żoneczko... istna lalczka — wrzeszczał Kubuś, tańcząc i skacząc po ceglanej posadzce z panienką, której z objąć nie wypuszczał.

— Tylko mi nie zgnieć tego cacka — wołała przymilająca się do dziewczynki pani Weronika, i dodała po chwili: — Zostaniecie u nas... na długo?

— Jania... tak proszę pani na cały tydzień — mówił Franio rezolutnie.... — ja nie mogę, dziś jeszcze wrócić mi wypada. Papa kazał nie opuszczać hrabiego, który przez przyjaźń dla ojca chce mnie przy sobie całe lato zatrzymać. Nadto nadworny doktor w Zalesiu, homeopata, powiada, że muszę jeszcze odhyć kurację pod jego okiem.

— A ty pewno kontent jesteś z tego hultaju, bo się do Lutki umizgasz — huknął basem pan domu i zaniósł się od śmiechu.

Franio poczerwieniał nagle, jakby go kto oblał ukropem.

— Kubuś... Kubuś... co znowu! — niby z wyrzutem szepnęła Dodalska

Jania, porwana śmiechem olbrzyma, trzymającego ją ciągle na rękach, chichotała także.

Potem opierając drobne dłonie na ramionach Kubusia, spytała z dziecinną naiwnością:

— Co to jest umizgać się... proszę mi powiedzieć...

Kubuś, zainteresowany niespodzianie, zaczął tłómaczyć, ale ponieważ wszelkie objaśnienia nie były jego specjalnością, dziewczynka uparcie dopytywała się dalej:

— Ale proszę mi wytłómaczyć... nie nie rozumiem... jeszcze nie nie rozumiem — i śmiała się, a głosik jej srebrny, rozlegający się po dziedzińcu jak dzwoneczek, odbijał się w sercu Stasia jakimś dziwnie miłym echem.

Franio, pragnąc widocznie odwrócić rozmowę od tematu i przyczyny, która zmusiła go spieć tak niefortunnego raka, zbliżył się do pani Weroniki i rzekł, wyjmując list z zanadrza:

— Papa pisze obszernie o interesach, mnie zaś kazał powiedzieć, jak się z państwem zobaczę, że robi wszelkie starania o znalezienie potrzebnej sumy. Ma nadzieję że na święty Jan, jeden z jego klientów rozporządzać będzie znaczniejszym kapitałem, który chętnie na hipotekę Krasnosójek wypożyczy.

— A niechże mu Pan Bóg da zdrowie! — krzyknął znowu uradowany Kubuś. — Twój ojciec, chociaż

adwokat, poczciwy człowiek w całym tego słowa znaczeniu. Nawet żoneczka nie nazwie go pewnie jurystą...

— Bądźże cicho — syknęła pani Weronika.

— O! u nas w Warszawie proszę państwa — mówił Franuś trochę dotknięty — wszyscy adwokaci są uczciwymi ludźmi. To nie tak jak na prowincyi. Poczem dodał z pewnym odcieniem dumy — Ja także myślę zostać adwokatem... Skończę wydział prawny w Petersburgu, dokąd w lipcu pojedę...

— Bardzo dobrze... bardzo rozumnie, drogi chłopcze; bardzo dobrze... bardzo rozumnie — powtarzała Dodalska, zirytowana i z tropu zbита niezręcznym wyrażeniem się męża. — Nie ma jak być adwokatem... człowiek sam sobie poradzić może... zwłaszcza na wsi, wśród kłopotów... a! i w mieście także.

Nadskakiwała dalej przybyłym. To całowała twarzyczkę Jani, to ścisnęła Frania za rękę.

— Ale... ale — zawołała — domyślam się, że w walizach znajdować się muszą sukienki Jani, które, jak prawdziwa Warszawianka, zechce zapewne przebrać się do obiadu.

— A jakże... a jakże... mam śliczną białą... muślinową... z różowym paskiem... jedwabnym.

I dziewczeczka klaskała w rączęta i pochyliła się ku trędownatej twarzy pani Weroniki, tak że Kubuś ledwie ją mógł utrzymać.

Lokaj z Zalesia odśrubował walizy i przy pomocy Kaśki, która ni z tego ni z owego nawinęła się nagle, wniósł je po schodach, przez ganek, do sieni.

Za walizami weszli do dworu młodzi goście i gospodarze.

Stangret klasnął z bata, emoknął.. konie ruszyły z miejsca kłusem — i powóz potoczył się w około tra-

wnika przez wrota, pod stajnię, zakrytą dużym klombem drzew wyniosłych i gęstych krzewów.

Staś stał czas jakiś niemy i zadumany, wzruszony i przejęty do głębi sceną, która przed chwilą rozegrała się przed jego oczami. Ta dziewczynka taka cudna, jak aniołek na obrazku, tak ślicznie przyodziana, a idąca ubrać się jeszcze piękniej... ta czułość, życzliwość i uprzejmość, z jaką ją ciotka przyjęła... wszystko to pomieściło się w jego mózgu... wywołało zamęt w myślach... a może i w sercu... W uszach brzmiał nienastannie śmiech panienki.

Chłopczyna w zgrzebnej koszulinie, bosy, z obnażoną pierśią, wysunął się z krzaków jak wilczek z gniazda wilczycego.

Zapomniał o wrotach rozwartych, o całym bożym świecie.

Szedł wprost przez trawnik z głową zwieszoną, z oczętami niebieskimi, utkwionymi w ziemię. Gdyby go kto spytał — gdzie idzie? — nie wiedziałby co odpowiedzieć.

Wtem jedno z okien dweru otworzyło się z hałasem. Ukazała się w niem pani Weronika.

— A nie zamkniesz ty bramy szczeniaku! — zawołała groźnie.

Staś, przebudzony z marzeń rozkosznych, wstrząsnął się całym ciałem, jakby go kto biczem ściągnął... Potem jak strzała poleciał ku wrotom, zamknął je... i już nie przez dziedziniec, tylko za drzewami, koło zabudowań gospodarskich, chyłkiem, pospieszył do kuchni czeladniej, właśnie bowiem w tej chwili Marysia targnęła sznurkiem od dzwonka, zwołującego fernali, dziewczki i parobków na obiad — drugiego stołu.

Nazajutrz Jani wszędzie było pełno.

Raniutko pobiegła się napić świeżo udojonego mleka w oborze, potem zajrzała do stajni, do kurników, do owczarni, do sadu i ogrodu.

Staś, dla którego dziewczynka była niezwykle, niemal nadprzyrodzonym zjawiskiem, powierzył gęsi opiece jednego ze swych wiejskich przyjaciół — chłopka bowiem dzieciarnia była mu duszą i ciałem oddana — a sam w pewnej odległości krążył około Jani, przyglądając się jej z daleka, to z po za węgła jednego z budynków, to ukryty w krzakach.

Nie śmiał się do niej zbliżyć, ale szedł tam, gdzie można było ją widzieć, nie będąc widzianym. Okrężał, nakładał drogi całe staje, upatrywał wygodne do schowania się kryjówki, aby tylko napaść oczy widokiem ślicznej panienki.

Kiedy Jania — po śniadaniu — wyszła razem z Kubusiem w pole — i on za nimi poleciał. Jak wąż wsuwał się w rowy, wlaził pod mostki, czołgał w brzdach niewysokiej jeszcze lecz gęstej pszenicy lub żyta, nie spuszczając oka z dziewczynki zgrabnej, szczebiotliwej i wesołej.

Dni następnych, Jania, obeznana i oswojona z miejscowością, obchodziła się już bez towarzystwa pani Weroniki i Kubusia. Sama — włożywszy na skronie szeroki, słomiany, pasterski kapelusik — ruszała odważnie na wycieczki, nawet dość oddalone od dworu.

Ani jej przez myśl nie przeszło, że ktoś ją śledzi i czuwa nad nią... gdyż Staś kroczył zawsze i nieustannie za cudnem dziewczątkiem. Drżał jak listek z obawy, aby go nie zobaczyła, a jednak ledwie ją tylko dostrzegł przed gankiem, nie mógł usiedzieć na miejscu. Coś go ciągnęło i popychało jej śladami.

Skoro tylko Jania wyszła z domu, już on pędził jak cień nieodstępny... tylko postać jego nie rzucała

cienia ani przed, ani za sobą, zawsze bowiem umiał się zaszyć w takie ciemności, że nawet promienie słoneczne nie były w stanie go odkryć i uwidocznić.

Dlaczego Staś nie chciał aby go Jania zobaczyła?... sam sobie sprawy z tego nie zdawał, a nieprzyzwyczajony do głębszego zastanawiania się, nie pytał myśli swojej o znaczenie tej obawy, która mu zbliżenia się do dziewczynki wzbraniała. Dość, że jakiś wstyd czy zrozumienie własnej niższości wobec istoty prawie równej mu wiekiem, a tak pod każdym względem od niego wyższej i doskonalszej, nakazywały mu kryć się przed jej spojrzeniem.

W sercu tego dziecka, sprostaczonego otoczeniem i zupełnym brakiem wychowania, zdzieczonego złem obchodzeniem się i odosobnieniem, tliło uczucie delikatności wyrafinowanej, jakiegoby mu mógł pozazdrościć niejeden pieszczoch losu, niejeden wybraniec Fortuny, ślepej i niesprawiedliwej.

Pewnego razu, Jania skierowała swe kroki ku lasowi, czerniejącemu w dali, na granicy Krasnosójk od strony Zalesia.

Droga ciągnęła się naprzód polem sfalowanem i nierównem, przez zaszewy ozime, w pośród których łatwo było Stasiowi wyszukać głębsze bruzdy i wyrwy, a po ich dnie — zasłonięty zbożem — sunąć zwinnie na czworakach, tak, że ani jeden kwiat pszeniczny, ani jeden bławatek nie ruszył się i nie zachwiał.

Dalej głęboki wąwóz przecinał gościniec.

Po nad jarem, wyginał się w łuk most murowany, łączący dwie przeciwległe pochyłości. Tu chłopczyzna schował się pod arkadę i przesiedział chwilkę cicho, wychylając tylko od czasu do czasu głowę, aby zobaczyć, czy panienska już się dostała za górkę.

Zaledwie rondo pasterskiego kapelusika znikło, Staś śmiało ruszył drogą, wiedział bowiem, że tuż zaraz za górką rozpoczynają się gęste krzaki leszczyny, zmieszanej z choiną, w których on — zanim się dziewczątko obejrzy — utonie jak w morzu. Istotnie Jania już była daleko na gościńcu pod lasem, kiedy chłopiec jednym skokiem — jak zajęc — zboczył w zarosła, a raz w nich ukryty, przyspieszył kroku i wkrótce zrównał się z panienką.

Szli tak razem, nie widząc siebie wzajem.

Jania schylała się niekiedy, aby zerwać kwiatek przy drodze... Czasem zanuciła jakąś piosenkę. Wyrazów Staś nie rozumiał, nie zważał nawet na nie, ale wsłuchiwał się w melodyę, poił dźwiękiem srebrnego, dziecinnego głósiku, płynącego w powietrzu i mieszającego się zgodnie z cichem drzeniem liści na drzewach, z brzękiem pszczołki wracającej do ula, z świegotem ptasząt leśnych, z szelestem mieniących się w świetle skrzydełek szklarza-owadu, lecącego przed Janią, jakby jej drogę wskazywał.

Dziwne upojenie i błogość — to spływały z nieba, z sosen, brzóz i dębów, to wzbijały się z traw przy ziemi rosnących, i wrzosów, mechów i kwiatów, tak dziwne... ale tak dziwne... że dziewczynka nie mogła śpiewać długo. W pół wyrazu, w pół tonu urywała, chociaż nie domyślała się, co jej usta zamyka. Dumiała... marzyła... a marzenia wysnuwały się jedne z drugich. Staś — jakby z nią złączony jakimś duchowym, tajemniczym łącznikiem — marzył także.

Bóg wie, co się w tych dwóch główkach roiło, coś bez sensu i związku. Uśmiech na licach świadczył tylko, że marzyli przyjemnie.

Była to niedziela.

Nigdzie ludzi — ani w polu, ani pod lasem, ani na drodze; wszędzie spokój i cichość. Natura nawet, sześć dni z rzędu gwałcona pracą ludzką, zdawała się spoczywać rozkosznie, świadcząc o życiu swoim tylko szmerami, wygrywającymi symfonię ciszy i wesela. Szmary te grały piano... pianissimo... tak że dzieci słyszały je prędzej sercem, duszą, niż uchem i wtórowały im harmonią swoich rojeń miłych.

W oddaleniu przed niemi, coś się bieliło i czerwieniło.

Za krzyżem, który spróchniałe ramiona wznosił wysoko — trochę pochylony nad krzakiem głogu, obsypanego białem, woń roznoszącym dokoła kwieciami — rozścielała się polanka prawie naga, kamienista, tu i owdzie tylko porosła dziewanną i macierzanką. Na polance tej, z nieurodzajnego gruntu wyrastał nad poziom świeży, dość wysoki mur fundamentu, pod budującą się karczmę. Karczma ta współzawodniczyć miała z inną, o kilka tysięcy kroków oddaloną, zakrytą zasłoną drzew zielonych, już do Zalesia należących.

Z pośród długiego czworoboku, ograniczonego cokołem, wybiegał w górę komin z cegły czerwonej, oparty na pękatym piecu, który rozsiadał się na kamiennej podstawie, zarytej w otwartą, szeroką paszczę głębokiego piwnicznego dołu. Wapnem upstrzone, jeszcze przez deszcz niespłukane, liście dziewanny i gruz różnokolorowy, tam i owdzie rozrzucony, świadczyły, że murarska robota niedawno musiała się skończyć, aby ustąpić miejsca ciesielskiej. Niedaleko stały stosy gon-tów, bali i desek, ułożonych symetrycznie, pod rachubą. W poprzek zaś podmurowania leżały na ziemi belki i łaty, wczoraj zaledwo pewnie ociosane toporem, mnóstwo bowiem drzazg i wiórów zaścielało ziemię, tak w około, na zewnątrz fundamentu, jak wewnątrz, niżej



w owym lochu nieprzykrytym ani sklepieniem ani podłoga.

Żywej duszy tu nie było.

Jania zbliżała się do podmurowania i zaczęła mu się ze wszystkich stron przyglądać. Widocznie zastanawiało ją to niedokończone dzieło rąk ludzkich, tajemnicze w swym nieładzie, jakoś dziwnie martwe wśród otaczającej je życiem dyszącej przyrody.

Po kupie gruzów, przylegającej do fundamentu, wbiegła na wierzch; śmiało wstąpiła na jedną belkę i szła po niej zwawo, aż do pieca. Tu oparła się o jego ścianę ceglana i rzuciła okiem w około.

Ślicznie wyglądała na tem tlejaskrawem, czerwonym, zarumieniona znużeniem, ubrana w białą sukienkę, oświecona promieniami słońca.

Staś, który zatrzymał się w zaroślach, na podlesiu, patrzył na nią z zachwytem

Ale wkrótce zrozumiał, że niedoświadczonej dziewczynce grozić może niebezpieczeństwo; więc chyłkiem, z przeciwnej strony, zasłonięty kominem, zbliżył się także do budującej się karczmy. Znając już te mury doskonale, wdrapał się jak kot na fundament. Potem hosemi nogami przebiegł cicho po belce i przycisnął się do komina, aby go Jania nie spostrzegła.

Dziewczynka niecierpliwa, nie umiała długo ustać na miejscu, postanowiła zatem wrócić, jak przybyła. Tylko tym razem zamiast stanąć na belce weszła na łatę, wprawdzie dość szeroką i gładką, ale która w pół drogi zaczęła się pod nią chwiać, kołysać i uginać.

Wzrok Jani mimowolnie zwrócił się na nóżki, a z nówek na czarną przepaść, jaką się jej w tem miejscu piwnica wydała. Istotnie, głęboka dziura, od słońca tu odgradzona cieniem drzew rozłożystych i wysokich,

podobną była do otchłani strasznej, bez dna, ponurej, okropnej.

W główce się dziewczynce zakręciło. Dla utrzymania równowagi wyciągnęła szczupłe ramiona, bijąc niemi w powietrzu, jak ptak zrywający się do lotu.

W tej chwili bujająca się pod nią łąta zadrżała i zatrzeszczała przeciągle. Jania zamknęła oczka... Mrowie przebiegło po jej ciele... Czuła, że siły ją opuszczają, a przepaść przyciąga.

Staś bacznie zważał na ruchy Jani.

Jednym susem wyskoczył z ukrycia i w mgnieniu oka... ze zwinnością sobie właściwą — przebiegł po belce, równoległej od łąty, przestrzeń oddzielającą go od panienki, na której ta już nieprzytomna chwiała się i bliską była upadku. Wyciągnął ramiona, schwycił dziewczątko w objęcia, a przytuliwszy do łona drogi i śliczny ciężar, ostrożnie zeszedł z podmurowania, szepejąc:

— Niech się ino nie boi... Nie lękać się, nie lękać.

Jania nie wiedziała, co się z nią stało.

Dopiero kiedy nóżki jej dotknęły ziemi, westchnęła głęboko, otworzyła oczki czarne, i spojrzała na swego wybawcę.

— A ty się zkąd wziąłeś?

Staś przestępował z nogi na nogę, wykręcał palce u rąk, rumienił się i jękał.

— Sedłem hen z boru... Stojałem za kuminem... uźrałem...

— I uratowałeś mnie, bo już w dół leciałam... Prawda że leciałam?

— A ino.

— Toś ty dobry.

— Nie wiem.

— Ja ci mówię, żeś dobry — rzekła Jania stanowczym głosem. — Mój papa będzie cię za to kochać... a i ja cię kocham.

W serduszkcu malca zrobiło się ciepło, miło, błogo.

Nie mógł i nie umiał wypowiedzieć swojej wdzięczności za wyraz „kocham“, który po raz pierwszy, zwrócony do siebie, usłyszał od czasu jak bawił na wsi, a zwłaszcza że był wymówiony przez takie cudne usteżka — przez takiego aniołka, bo aniołkiem z nieba wydawała mu się dziewczeczka. Coś mu się w piersi odezwało niby łkanie, niby jęk, niby płacz... lecz nie żałosny, przeciwnie, pełen wesela, radości, rozkoszy... i łza — czysty dyament szlachetnego, głębokiego wzruszenia — spłynęła po ogorzałej twarżyczce.

— Czemu płaczesz? — spytała Jania zdziwiona.

— Nie wiem.

— Smutno ci?

— O nie! — zawołał chłopczyzna rozpromieniony.

— Dlaczegoż płaczesz?

— Cno mi jakoś.

Jania, Warszawianka, wychowana w domu, w którym czystości języka przestrzegano pilnie, w którym mowę polską uważano za skarb najdroższy, nie ośmielając się jej kazać żadną popolitością, nie zrozumiała gwary, jaką Staś myśl swoją wyraził.

— Co to jest cno? — zapytała.

— To tak... o! la Boga... kole tu... kole tego — uderzył palcem po obnażonej piersi — kole kołatka — wskazał na serce — cusić dławii, idzie do gardła... dusi .. dusi, ale miło... *Allons... voyons...* nie wiem jak powiadać.

— *Voyons!* — krzyknęła dziewczynka. — To ty umiesz po francusku?

— Nie umiem — rzekł Staś, spuszczać oczy w ziemię — zapomniałem.

Istotnie Staś zapomniał macierzystego języka, a ojczystego nikt go nie nauczył.

Ale dzieci posiadają dar — o jakim my starzy nie mamy pojęcia — wzajemnego przeczuwania się i odgadywania swoich myśli, zastępowania słów półsłówkami, a nawet migami, intonacją głosu, wyrazem twarzy. Dlatego też dwa poczciwe serduszka znalazły sposób rozmawiania z sobą jaśniej i wymowniej. niżby o to można było posądzić ich usta, krępowane wstydem i narzeczem ludowem.

— Jak się nazywasz? — zapytała dziewczynka.

— Staś.

— A ja Jania... Chodźmy Stasiu, bo już późno.

Podawała mu rączkę — ona to już bowiem... przed chwilą ocalona, słaba, nieprzytomna i drżąca wobec niebezpieczeństwa — stała się od razu opiekunką, nauczycielką i przewodniczką swego wybawcy. Poprawiała wymowę malca, strofowała go za gminne wyrażenia i wiodła ubitą ścieżką przy drodze, aby sobie bosych nóg po grudzie i ostrych kamykach nie kaleczył. Na myśl jej nie przyszło — chociaż ubraną była w ładną sukienkę — wstydzić się zgrzebnej koszuli Stasia.

Tak złączeni, rękami i duszą, szli razem z powrotem do domu, jakby się znali od urodzenia.

W drodze chłopczyk wypowiadał się przed dziewczynką zupełnie. Opowiedział jej całe swoje życie. Zaczął od wspomnień odległych, skończył na chwili obecnej.

Z wysłowieniem się szło mu z początku bardzo trudno. Cedził wyraz po wyrazie. Niemal każdy musiał mu Jania z gardła, z piersi wyciągać, ale powoli... powoli, coraz bardziej ośmielony, stawał się wymo-

wniejszym i zwierzał się ze wszystkiego: z tęsknoty za rodzicami i z przykrości jakich w Krasnosójkach doznawał, z nienawiści, jaką ciotka doń pałała i z tajnych sympatyj do Kubusia, z kłopotów swoich przy pasaniu gęsi i z radości, jaką mu sprawiło przybycie Jani. Mówiąc o ciężkiej terażniejszości, nie skarzył się, ani narzekał; opowiadał tak, jak było w istocie, bez przesady i rozdrażnienia.

Zdziczałe dziecko — pod szorstką, twardą, wilczą skórą, ukrywało jagnięcą dobroć i prostotę, które od razu zjednały mu życzliwość dziewczątka, również dobrego i prostego jak jagnię.

Jania przytem — pomimo niewinności niemal niemowlęcej — była nad wiek umysłowo rozwiniętą. Czego nie wiedziała lub pojąć nie mogła, odgadywała intuicyjnie. Znacznie młodsza od swego brata, ukochana w domu jedynaczka, obcowała dotąd tylko w towarzystwie ojca — uczonego prawnika — osób starszych i Frania, wielkiego sensata. Już to samo nadało jej myślom kierunek poważniejszy, szczęśliwie jednakże miarkowany naiwnością dziecinną. Przy wielkiej bystrości i inteligencji, była jednakże dzieckiem, w całym szerokim znaczeniu tego wyrazu. Rówieśnic swoich nie znała prawie, tylko w przelocie, z Saskiego ogrodu — i nie lgnęła do nich wcale. Otoczona najzaciewniejszymi ludźmi, przyzwyczajona patrzeć tylko na dobre przykłady, nie wiedziała, że istnieją na świecie istoty niegodziwe, podobne do pani Weroniki.

Szczere opowiadanie Stasia wywarło na niej silne wrażenie.

Kiedy się dowiedziała, że chłopca chłoszczą nawet za urojone przewinienia, lica jej oblał gorący rumieniec oburzenia i wargi gniewnie zadrżały. Wyciągnęła gro-

źnie rączkę w stronę dworu i szepnęła przez zaciśnięte zębki:

— Oj! ta.... ta....

Staś się przeląkł wyrazu twarzy i gestu Jani.

— To ty.... pani — poprawił się — ciotki się nie boisz?

— Ja się Boga boję — odparło dziewczę z prostotą.

Odpowiedź Jani nie trafiła chłopcu do przekonania. On się bał ciotki na seryo.... bardzo; lękał się, aby Jania nie wygadała się przed nią i chcąc bronić, nie obwiniła go właśnie. Od dwóch lat wzrastał w niewoli i katowni, nie łańcuchy zatem, pęta i chłosta wstręt w nim budziły, ale ich ciężar i ból gatunkowy. Zaczął gorąco prosić towarzyszkę, aby nie wspominała nawet przed panią Weroniką, o czem rozmawiali.

— Widzi Jania.... Jania odjedzie, a ja останę.... Ona wtedy chyba mnie uśmierci, za to, że wypaplałem przed Janią....

Dopóty błagał, dopóty nalegał, aż mu dziewczynka przyrzekła nie zdradzić tajemnicy.

Potem rączka w rączkę szli dalej drogą, ale już milczeli... bo słońce zaszło, niebo błękitną swą suknię zmieniło na ciemnoszafirową, pokrytą gwiazdami, jak robron zaczarowanej księżniczki, której dobra wróżka podarowała śliczne stroje, najpiękniejsze w świecie... bo z tego nieba spływała w ich dusze błogość nieopisana, niepojęta... bo serca ich biły w takt jak jedno... bo zapomnieli, że żyją, tak rzeczywistość zmieszala się z marzeniem, terażniejszość z jakimiś zaświatowemi wspomnieniami z innej nieziemskiej krainy.

Cóż dziwnego?!... wszakże to były dzieci.

Staś — który miał oczy sokole — już o tysiąc kroków przed bramą spostrzegł, że pani Weronika stoi

na ganku. Delikatnie wysunął ramię z pod ramienia dziewczynki i rzekł cicho :

— Niech Jania idzie prosto do dworu... ja uciekam, boby mnie jesce obić, użrawszy z Janią.

Zsunął się w rów przy drodze i popęztał nim w krzaki. Tu się chwilę zatrzymał, odchylił gałęzie, popatrzył na śliczną dziewczeczkę, którą przypadek poznać mu pozwolił, westchnął głęboko, jakby mu kamień jakiś piersi przyciskał i znikł wśród zarośli.

Jania przez nieco uchylone wrota wsunęła się na dziedziniec.

— A! moje drogie dziecko — zawołała pani Weronika, skoro ją tylko spostrzegła — jesteśmy o ciebie bardzo niespokojni.

— Od godziny — dodał Kubuś, stojący przy schodach — czekamy z kolacją.

I zwróciwszy się do Kaśki, odnoszącej półmisek w stronę kuchni, zawołał ;

— No, kiedy nam już Bóg panienkę szczęśliwie powrócił, Kaśka, lewo zwrot... równaj się... zawróć... marsz do stołowego pokoju.

Dziewka z precyzją żołnierską spełniła rozkazy pana.

— Gdzieżeś tak długo bawiła? — pytała pani Dodalska dziewczynki, wbiegającej na stopnie, ale nierzucającej się w jej objęcia, jak to czyniła zwykle.

— Byłam koło budującej się karczmy — odparła Jania, źle ukrywając wstręt, jaki ją od kata biednego Stasia odpychał.

— Aż tak daleko... zmęczyłaś się i pewnie jesteś głodna.

— O! nie... nie... nie głodnam.

Ho! ho!... co to nie!!... musi być głodna — huknął Kubuś basem.

Wziął dziewczątko na ręce.

— Daj jej pokój. Widzę, że jakaś markotna.

— Gdzie zaś markotna !... a czegożby miała być markotną ?!

Jania, rozbawiona pocieszną fizyonomią pocziwego Kubusia, uśmiechała się do niego, głaszcząc polbrzymiej brodzie i wąsach.

— Widzisz ?!... no ! stajemy żoneczko do apelu... Raz, dwa, trzy, marsz.

Wbiegł do sieni. Za nim weszła pani Weronika, kwaśna i niezadowolona, ale ukrywając swoje niezadowolenie.

— Musiała coś dostrzedz, albo jej kto co nagał... oj ! te dzieci... Bóg łaskaw, że mnie niemi nie obarczył — myślała w duchu.

Jania święcie dotrzymała danego Stasiowi przyrzeczenia, ale znając swój wpływ na Dodalską — chociaż nie domyślała się jego przyczyny — tak nazajutrz manewrowała, ale to tak manewrowała, z taką iście kobiecą zręcznością uciekła się do tysięcy wybiegów dyplomacyi dziecinnej... aż wreszcie skłoniła, prawie zmusiła, ulegającą jej we wszystkim gospodyni domu do przywołania Stasia na ganek... Oboje nie zdradzili się ani słowem ani gestem. Najbaczniejszy obserwator nie byłby odgadł, że dzieci się znają, chociaż jedno i drugie dech zapierało w piersi, aby ciotka nie przeczuła, że się już widzieli i rozmawiali z sobą.

Chłopczyka ubrano w paryskie sukienki, które na szwach i w zakładkach rozpuścić należało, tak z nich wyrósł i zmęźniał. Dziki parobeczek wyglądał trochę po cudacku, ale czyż Jani chodziło o ubranie ?!... Dość, że codzien, od rana do wieczora, mógł się z nią bawić, siadał przy niej przy stole, biegał po ogrodzie i w pole, zrywał dla niej kwiaty.



Patrząc czasem zdaleka na ich wspólne zabawy, pani Weronika kręciła głowę i mruczała pod nosem: — Patrzcie, jak to polubiła szczeniaka!... Już też kto się z dziecka jurysty doczeka pociechy.. no!

I wzruszała ramionami.

Tydzień upłynął jak chwila. Był to dla Stasia tydzień nieopisanego szczęścia... ale szczęście trwa krótko na tym padole płaczu.

Pewnego dnia, w południe, zajechał przed dwór krasnosójecki powóz z Zalesia. Przybył w nim Franio.

Garderobę Jani upakowano w walizy; potem je wyniesiono na dziedziniec i przyśrubowano do deski nad resorami, z tyłu kocza; potem ciotka z mężem wyszli na ganek... ściskali i całowali Janię i Frania; potem dzieci żegnały się, płacząc..; potem brat z siostrą wsiedli do powozu; potem konie ruszyły kłusem, zataczając krąg w około trawnika.

Staś wrota otworzył, blady, drżący, łzawem okiem wpatrzony w śliczną dziewczynkę, jak aniołek dobrą i miłą... Ona się doń wychyliła i ostatni pocałunek rączką od ust przesłała....

Potem na drodze wszystko utonęło w kurzawie: i rączka wyciągnięta i konie i powóz i walizy...

Chłopczyzna dłonie ścisnął, potem zakrył niemi oczy. Czuł, że serce mu pęka z żalu i smutku. Został sam.... znowu sam jeden.

Nazajutrz przywdział zgrzebną koszulę i pasąc gęsi, żył świeżemi wspomnieniami, zacierającemi dawne... Zwykła kolej rzeczy.

---

## VII.

### P o ż a r.

— Słuchajno Kaśka — mówiła siedząca na ganku Dodalska do dziewczki dworskiej, zamiatającej słomą i sianem zaśmiecony dziedziniec — nie widziałaś gdzie pana ?

— A hen oto prosię pani, tylko co przyjechał z pola na gumno... o! na fuze ze zbozem... Musieli kaj juz skończyć wozowicę, ze nie tędy juz, ino wprost psed stodołę zajechali.

— Poproś go do mnie

Kaśka rzuciła miotłę i poleciała, sapiąc i wymachując rękami jak wiatrak.

Urodzaj tegoroczny w Krasnosójkach musiał być ogromny, niesłychany, kiedy — mimo sprzyjającej pogody — trzeba było do zwożenia półkoptów wyciąć na podwórzu szeroką lukę, rodzaj drogi, w pośród gęstych i zwartych niegdys kłębów — a to widocznie, aby co najrychlej — z obawy by deszcz snopków nie zmoczył — dwiema stronami zajeżdżać na gumno, dwoma ujściami pozwolić wpłynąć takim skarbow.

Dziesięć dni zwożono resztę oziminy — część bowiem stała już w stertach w pobliżu zabudowań gospodarskich — ośm dni jarzynę: jęczmień, rzepak letni, groch, wykę, owies i proso, bo wszystkiego było podostatkiem.

Fury wydawały się olbrzymie — jak pagórki ze słomy — ciągnione przez konie i woły. Przesuwały się długimi szeregami, to przed samym dworem, przez ową lukę wyciętą, albo po za obejściem gospodarskiem.

Obecy ludzie, patrzący na owe zbożowe karawany, dziwowali się niemało.

W polu nie wyglądało jakoś tak suto. W pszenicy — dopóki na pniu stała — widać było dużo maku, kakolu, groszku i bławatu, słowem różnego chwastu, a chociaż łany nią zasiane rozścielały się szeroko, i tu i tam, i na jednej i na drugiej i na trzeciej granicy dóbr Dodalskich, snopki w czasie żniwa wydawały się wcale liche i mizerne.... Teraz przysporzyło się ich znacznie.... Czyżby cud?... Cud jak cud, ale widocznie jakieś zmiłowanie.

W stertach i zasiękach — od frontu — snop w snopa, dobrej więzi, choć posłać na wystawę rolniczą, bo to i słoma duża i kłosa jak kozackie baty... a na zasiew omłócone kopy sypały po półtora korca i więcej. Żyto wprawdzie tylko korcowało.... ale co za ziarno! Furda proboszczowskie i wszystkie krzyce, sprowadzane z zagranicy.

Gumienny i karbowy mówili arendarzowi, że jarzyna jeszcze świetniej dopisała.

Takich parę lat, a Krasnosójki i bez pożyczki, przyobiecanej przez ojca Jani — pożyczki, która, nie wiadomo z jakich powodów, zaciągnąć się nie dała i nie przyszła do skutku — swoją własną krescencyą opłacą długi, raty Towarzystwa Kredytowego Ziem-

skiego, podatki zaległe, zapewnią pańskie utrzymanie i zabłysną dawnym splendorem.

Pomimo tych złotych nadziei, pani Weronika nie wydawała się wesołą. Na brzydkiej twarzy — w małych oczkach szczególnie — siadła chmura przykrego zamyślenia. Ręką — o skaleczonym i gałgankiem przewiązanym palcu — przesuwiała po zmarszczonem czole, a fałdy nie ustępowały.

Zbliżający się w tej chwili Kubuś nie miał także miny człowieka zadowolonego, który dzień cały na pożytecznej pracy spędził. Ocierał kolorową chustką w kraty pot z czoła i szedł zadumany, znużony, chmurny, powoli, chociaż Kaśka wołała go przecie do „żoneczki“, a on zwykł rozkazy pani spełniać żwawo i szybko.

Za nim — jakby w asekuracyi — zdążała dziewczka żołnierskim, mierzonym krokiem z wyrazem bezmyślności na twarzy.

— Chciałabym z tobą pomówić — rzekła Dodalska, kiedy mąż stanął pod schodami, wiodącemi na ganek.

Równocześnie dała znak oczami, który sumienny wykonawca woli połowicy od razu zrozumiał, zwrócił się bowiem ku dziewczce i huknął basem:

— Lewo zwrot!... Przynieś - no kapelusz... zostawiłem go w stodole... koło maszyny... rozumiesz... Marsz!

Kaśka, której widocznie nie pilno było do miotły, chętnie przenosząca się z miejsca na miejsce, — jeszcze stentorowy głos pana nie przebrzmiał, a już pędem ruszyła z powrotem na gumno.

— Chodźno tu i usiądź — powiedziała łagodnie pani Weronika.

Ten ton zapowiadał ważne jakieś zwierzenie lub polecenie.

Kubuś, nie spiesząc się jednak zbyt, wszedł po stopniach ociężałe, potem milczący i ciągle chmurny usiadł na ławce.

— Zwózka skończona?

— Skończona.... Przekłęta komedia! — i machnął ręką.

Pani Weronika, chociaż ją humor męża irytował, nie wybuchła gniewem, nie oburknęła się nawet, czuła bowiem, że dla doprowadzenia ułożonego i rozpoczętego planu do skutku, nie można przeciągać struny cierpliwości, dźwięczącej oburzeniem w duszy poczciwego Kubusia.

— Nikt o niczem nie wie? — badała.

— A przyznam się, że pani żoneczka jest sobie dobra.... Nikt nie wie.... Także!!... Niby to można było tak zrobić, aby nikt nie wiedział! Wie przecież gumienny, połowy, Bartosz, Maciek i Jasiek Sadło.

Kiedy biedny mąż zawojowany używał wyrażenia „pani żoneczka“, zamiast krótko: „żoneczka“, rozterka sprzecznych uczuć, walczących w jego sercu, dochodziła zwykle do gorączkowego paroksyzmu. Na szczęśliwe przesilenie trzeba było czasem czekać dość długo... a tu szło o czas właśnie, o czas drogi, o czas — według zdania pani Weroniki — sprzyjający jej zamysłom. Znała Kubusia na wylot; wobec „pani żoneczki“ zatem, schowała dyabło pazury i rogi czarcie, postarała się o pogodne spojrzenie, o głos czysty i ujmujący.

— No, o gumiennego, połowego, Bartosza, Maćka i Jaśka nie lękam się wcale — rzekła — to ludzie wierni i do ciebie przywiązani.... Przysięgli mi tajemnicę, gotowi w ogień skoczyć na moje i twoje skinienie.

Kubuś drgnął, usłyszawszy wyraz: „ogień“. Dodała, że tego nie spostrzegła i ciągnęła dalej:

— Ale czy kto inny się nie domyślił?..

— Kaduk wie, czy się kto inny nie domyślił! — mruknął biedak, siedzący jak na żarzących węglach. Potem dodał: — Czegóżby się nie miał domyśleć?.. toć to w oczy skacze. Czy ludzie na wsi już tacy głupi, aby się nie poznali na naszym, jak lis farbowanym urodzaju?!

— Poznali.... poznali.... Co mi tam, że ktoś obojętny się poznał.... tu chodzi o tych, którzy mogliby w danym razie świadczyć.... o świadków tylko idzie.

Kubuś schylił w dół głowę, zakrył twarz rękami i milczał.

— Mój Boże, ty się martwisz.... a może zastanawiasz... Cóż chcesz, innej rady nie znajdziesz.

— Albo ja szukam!... Wiem tylko, że się to wszystko źle skończyć musi.

— Zkądże takie smutne przypuszczenie?... Czy Kopelmanowi w Łagwicach się nie udało, czy Głodziński tym sposobem nie wyszedł z interesów?.. Zresztą siebie nie narażasz.... dziś wieczorem wyjedziesz do Lublina i powrócisz za tydzień.

— Na śledztwo, na dochodzenia.... może na hańbę.

— To już moja rzecz.... hańby dla ciebie nie dopuszczę.

— A sumienie?!

Był blady, wzruszony, usta mu drżały.

Pani Weronika, jakby do żywego dotknięta, syknęła:

— Sumienie!... A ludzie, co nas doprowadzili do tego stanu, mieli sumienie?... mało nas jurysty nassały jak pijawki... A rodzony ojciec, leżący na pieniądzech, który nam nigdy nie dopomógł, ma sumienie?... a starsi bracia?... a Karol, co zostawił nam na karku swego przekłętogo.... — tu się zacięła, jakby przełknąć chciała wyraz, gwałtem cisnący się na usta... —

co kazał go darmo karmić i przyodziewać, miał sumienie?

— Dziecko przecie nie kosztowało wiele.... Łyżka strawy, cośmy mu dali, nie zubożyła nas pewnie.

— Tak myślisz mój Kubusiu, ale grubo się myślisz.... Tyś dobry, tybyś się z każdym koszulą nawet podzielił, tylko inni nie płacą ci wzajemnością.... O! ja niestety wiem, cośmy przez tego małego poczwareę stracili.... wiem.... wiem.... Nie mówię, bo na coby się to zdało... albo ty mi uwierzysz!

— Kiedy wiesz, to powiedz; nie należy prawdy ukrywać — mówił na ciekawość złapany Kubuś.

— Od czasu jak to szczenie u nas legło, ludzie na Krasnosójki niełaskawi, wszyscy omijają, odsuwają się od nas za dziesiątą granicę.... Nie wzruszaj ramiionami, każdy przecie widzi, że gdyby dziecię było owocem świętych związków małżeńskich, toby go ojciec lata całe na cudzej łasce nie pozostawiał.... Uśmiechasz się, a ja ci mówię, że wszystko złe ta zaraza nam przyniosła, niebłogosławieństwo boskie na nasz dom sprowadzając.... A pożyczka?! co myślisz o pożyczce, którą pan mecenas — wymawiała „pan mecenasa“ z ironicznym naciskiem — solennie przyrzekł, a skoro tylko Jania do Warszawy powróciła, wręcz odmówił.

Kubuś z rozwartemi szeroko ustami słuchoł żony, przemawiającej z zapałem i głębokiem przekonaniem.

— Ten twój pieszczoł, ten dzieciuch przezemnie krzywdzony, ten Staś ukochany, winien wszystkiemu... On przed smarkatą jurystczanką na nas nagadał, na-plótl.... pewno nałgał niestworzone rzeczy, bo to ziółko!...

— Czy być może?!

— Nie może, ale tak jest w istocie... Ona, co tylko od gadziny usłyszała, wnet po przyjeździe drogiemu papie wypaplała, a cnotliwy pan mecenas, honorowy pan mecenas, wspaniały pan mecenas, którego córunię podejmowałam jak jaką księżniczkę, eom się tej lali do nóg niemal słała, cofnął dane słowo.

Niegrzeszący zbytnią bystrością umysłu Kubuś zaczynał powoli wierzyć w słowa wymownej połowicy.

Szeptał jakby do siebie.

— Prawda... prawda... tak coś być musiało... Przecie obiecywał z początku, potem nie dotrzymał.

Pani Weronika radowała się w duszy. Teraz już była pewną, że mąż zrobi wszystko, czego będzie chciała.

— Widzisz mój Kubusiu pocziwy, nie ma co się dłużej ociagać, plan mój, który znasz, należy doprowadzić do skutku. Nikt nam nie dopomoże, wszyscy opuścili, nikt ręki nie poda... sami sobie radzić musimy. Tyś dobry... ja to wiem... żony nie opuścisz. Bronić się trzeba... I robak, jak go nadepczą, wije się pod nogą, żeby się wysliznąć.

Głaskała go ręką o skaleczonym palcu po bujnej brodzie.

— Idź; daj gumiennemu garniec wódki ze składu. Ja, niby z twego rozkazu, wydam mu ze śpichlerza korzec żyta i korzec grochu... Przyrzeczesz mu co jeszcze... Nikt inny nie potrzebuje nic wiedzieć... nikt inny... rozumiesz... tylko głowa i ręka, to dosyć!... Polowego, Bartosza, Maćka i Jaśka za pilność przy zwożeniu zboża obdarzę i wyszlę wieczorem na Leśniczówkę po sagi... Przed nimi nie piśnij ani słówka... Ty zaś jedź z Bogiem dziś jeszcze do Lublina.

Kubuś wstał, przeszedł się po ganku i rzekł:

— Ha! cóż robić, kiedy każesz żoneczko, to pojadę.



— Ja nie każę... przedstawiam tylko że inaczej nie można... i proszę.

— Prosisz, każesz, wszystko jedno... Cóż robić... pojedę.

Nagle myśl jakaś przyjść mu musiała do głowy, bo stanął przed żoną, nachylił się do jej ucha i szepnął tonem prośby.

— Ale dwór zostanie... zrób to dla mnie; przywiązałem się do tej starej chałupy... Zresztą wiesz, że ruchomości niezaasekurowane... Przyrzekasz mi?

— Przyrzekam.

Dodalski już nie walczył, czuł się pokonany. Szarpnął sumiastego wąsa, spuścił głowę na piersi... i westchnął:

— Cóż robić!

W tem Kaśka wróciła, niosąc kapelusz słomiany.

Kubuś wziął go z rąk dziewczki i wsadził na czoło po same oczy, jakby się wstydził patrzeć na świat Boży.

— Idę do magazynu z okowitą. Każ, proszę, przygotować wszystko do drogi. Niech do wózka krakowskiego Antek zaprzęgnie parę srokatych, kupionych w Turobinie... Naładować mi tłómczek z odzieżą...

— Włożę także z kwartę pszenicy na próbę — wtrąciła pani Weronika.

— Na co? — spytał zdziwiony.

— Wszakże jedziesz, żeby sto korcy sprzedać; bez próby żydzi nie kupią.

— A tak, tak... nie kupią — mruzczał, jakby nie rozumiał, co mówi. Potem nagle niby ze snu ockniony, powtarzał: — Słusznie... słusznie... bez próbki nie kupią!...

Zaczął schodzić po ceglanych stopniach.

— Mam jechać, to już wolę zaraz, na noc... A niech Antek nie zapomni owsa wziąć dla koni.

— Zjesz przecie kolacyę przed wyjazdem.

— Nie.... nie.... jeść mi się nie chce.

W parę minut słychać było, jak wołał na gumnie

— Józek! gumienny!.. Pójdź sam tu... lewo  
zwrot.... Marsz!

Pani Weronika wysłała Kaśkę do stajni, aby wtóżyć tam rozporządzenia męża co do wózka i koni sama zaś — pomimo, że Kubuś zapewniał iż mu się jeść nie chce — kazała Maryśce szybko z mędla jajecznicę usmażyć, nastawić samowar... i gdy pan do domu, ciągle zasępioy i chmurny powrócił, zmusiła go do spożycia wieczery i wychylenia kilku szklanek gorącej herbaty, bo jak mówi przysłowie: „od świętej Anki — zimne wieczory i ranki“... Istotnie wieczór był przejmująco chłodny.

Już się zupełnie zciemniło i gwiazdy pokryły sklepienie niebieskie, kiedy Kubuś, otulony w burkę z kapturem spuszczoney na oczy, wsiadł na wózek. Kiwnął głową żonie.... podniósł rękę do czoła, aby się przeżegnać, ale ręka jak skamieniała opadła bezwładnie na siedzenie.

— Wio małe! — krzyknął Antek, emoknął i machnął biczem

Szkapki ruszyły drobnym truchcikiem.

Pani Weronika stała czas jakiś i patrzyła za odjeżdżającym. Dopiero, kiedy tentent kopyt końskich, turkot kół i szczekanie żelaznych naszelników ucichły w ciemnościach nocy, weszła do dworu.

Nazajutrz od świtu panował wielki ruch w krasnosójeckim dworze. Wszystkie meble wyniesiono z polecenia dziedziczki na podwórze, a Kaśka, Marysia i Staś, trzymając w ręku wiotkie gałęzie, trzepali obicia na wystanych meblach co tylko sił starczyło. Pod ponawianemi nieustannie razami brzozyowych miotełek i

wierzbowych prętów, tumany kurzu wznosiły się w górę ze starej kanapy, foteli i krzeseł *empire*, które pono od czasu, jak je kiedyś symetrycznie ustawiono w salonie, nie wyjrzały jeszcze na świeże powietrze. Szafy, stoły i komody, wycierała ścierkami trójka robotnicza zewnątrz i wewnątrz.

Stasia rozrywało i bawiło to zajęcie.

Chociaż cały czas prawie pozostawał pod okiem pani Weroniki, ciężącym na nim surowo i nieprzychylnie, chociaż nasłuchiwał się takich wyrażen, jak: „Ostrożnie szczeniaku!... porządnie darmozjadzie!... nie dotykaj się tego potworze twemi brudnymi łapami, bo to dużo więcej od ciebie warto!“... to jednakże, te sprzęty, te meble... przypominały mu po części mieszkanie matki i babki przy ulicy Drouot w Paryżu, a nadto świeższe, ale droższe może, budziły wspomnienia... Wspomnienia z pobytu Jani na wsi, kiedy wolno mu było wszystko wraz z nią dotykać i poruszać, kłaść się na dywanie, siadać na czerwonym adamaszku, brać w ręce figurki i filiżanki porcelanowe, ustawione na pułeczkach lustrzanej serwantki, byle to robił w towarzystwie faworyzowanej i pieszczonej dziewczynki.

Od czasu wyjazdu Jani, życie jego stało się cięższym i przykrzejszym.

Przez nią dowiedział się, że są na świecie dzieci szczęśliwe, nieopuszczone przez rodziców, nie tyranizowane przez ciotki. Tygodniowy jej pobyt w Krasnosójkach sprawił wiele zmian. Wskrzesił i odżywił w sercu Stasia zarody instynktów szlachetnych, uspioonych w części, a w części zgniecionych, zdławionych despotyzmem i złem obchodzeniem się Dodalskiej.

Wpływ jej podobny był do wpływu rosy, która, spadając na słońcem spaloną trawę i schnące kwiaty, chroni je od śmiertelnego cmdlenia, od zupełnego

zwiądnienia. Towarzystwo dziewczątka, jak rosa dobroczynna, zbudziło duchową roślinność jego moralnej istoty, usychającej w atmosferze prześladowań, prostactwa i odosobnienia.

Wszystkie dobre instynkta zaczęły kiełkować, a nawet krzewić się na ugorze duszy chłopięcia, grunt bowiem był urodzajny, a ziarna — chociaż nie dziedziczne — posiadały wartość gatunkową niezwykłą. Obecność jej, obcowanie z nią, wydelikatniło uczucia Stasia i rozszerzyło widokrąg pragnień umysłowych, który po wyjeździe Jani żelazna ręka pani Weroniki zacięśniła znowu do horyzontu, odpowiedniego ledwie dla zwierzęcia. Dawniej, zanim poznał Janię, cierpiał tylko materialnie, teraz dopiero — po jej wyjeździe — i moralne smutki dolegać mu poczęły i teraz dopiero niedola jego wydała mu się ogromną, trudną do zniesienia.

To też chłopczyzna rad był każdej sposobności, odrywającej go od realnych, powszednich warunków jego bytu w Krasnosójkach, a przenoszącej zarazem w krainę wspomnień, gdzie spotykał się z Janią, gdzie wyobraźnią odbudowywał przeszłość, jeszcze niezbyt daleką a jednak już tak wyidealizowaną, że w umyśle jego zamieniała się w poezję, w rodzaj cudnej legendy. I poezya ta i uczucia doznawane były niejasne, nieokreślone, chaotyczne, przepełniały jednakże serduszko Stasia jakimś niewysłowionem upojeniem, niewysłowioną błogością. Więc, chociaż ciotka patrzyła na niego oczami wiedźmy, chociaż wzrok jej przejmował ciało jego mrowiem a lękiem duszę, chociaż słuchać musiał boleśnych i upakarzających napomnień, znosić szturchańce i razy — bo te, jak grad sypały się co chwila na biednego chłopczykę — radował się w duchu, że Dodalska kazała jemu a nie komu innemu

trzepać, wraz z dziewczkami, wyniesione na dziedzińiec meble.

Pani Weronika, posiadająca sztukę kłamania w najwyższym i najdoskonalszym stopniu, umiejąca jak wytrawny dyplomata ukrywać myśli i uczucia, nie była w stanie długo ukryć antypatyj swojej do Stasia. Nawet w czasie pobytu Jani w Krasnosójkach na przymus ten zdobywała się z trudnością. Nienawiść do dziecka, zrodzona w dniu przybycia Stasia do jej domu, nie tylko się z biegiem czasu nie zmniejszała, ale przeciwnie wrastała codziennie. Zła i przesądna zarazem — chłopcu przypisywała wszystkie swe niepowodzenia. Pomimo biedy, w której się kwiłała i gryzła, prawie od chwili nabycia obdłużonych Krasnosójek, wierzyła głęboko, że dopiero Staś rzucił na nią urok jakiś, który najsprytnej przez nią obmyślanym planom należycie rozwinać się i dojrzeć nie pozwala. Byłaby przysięgła, że razem z wyjazdem lub śmiercią chłopca wszystko przybierze inną postać, że trudności i przeszkody, jakie niemal na każdym kroku wrastają i krzyżują jej zamiary, znikną, skoro tylko „djabli szczeniaka zabiorą“, bo czytelnik łatwo zrozumie, że polecając go duchom nadprzyrodzonym, nie wysyłała go myślą do aniołów.

Teraz — jak i zawsze — patrząc na Stasia, noszącego krzesła, wymachującego prętem, czynnego za dwóch, i spełniającego jej rozkazy z automatyczną ścisłością, nie czuła się dlań lepiej usposobioną. Głęboka nienawiść błyszczała w jej piwnych, małych, pełnych dzikości oczach.

Koło południa, wysłanie i obicie na meblach już było wytrzepane starannie. Na garniturze salonowym, do czysta ścierką wytarty mahoń, bramujący twarde siedzenia i oparcia o liniach prostych, o poręczach z kolumienkami, zakończonemi kapitelami bron-

zowemi, o nóżkach w kształcie gryfich szponów, lśnił swą ciemno-czerwoną barwą, odbijającą w starej politurze i w złoconych ozdobach — promienie jesiennego słońca.

Pani Weroniki, przypatrującej się od rana robotnicie Stasia i swoich dwóch służebnic, zabrakło właśnie na moment ostatni, przed pół godziną bowiem przyszedł Józek, pokłonił się nisko wełnianą białą czapką — jaką noszą włościanie z okolic Krasnostawu — a Dodałska, na jego widok, zbiegła szybko z ganku i udała się razem z gumiennym do spichlerza.

— Skończyliśwa, a pani ani widu — powiedziała Marysia, prostując się i rzucając gałąź, trzymaną w rękę na ziemię.

— Staśku, rzekła Kaśka, zwracając się do chłopczyzny — leć duchem za dziedziczką i spytaj, czy już wnosić do pokojów kanapska, hotele, safy i stoły.

— O nie, jo nie pójdę... idźcie sami.

— Cóż, to psiawełno, bois się, zeby cie nie posturchała albo nie przezwoła sceniokiem; toć psecie i tak posturcho i tak nawymyśło.

Maryśka ujęła się za dzieckiem.

— Co mo biegoć biedne dziecisko i pytać! Oberwie po gębie i tylo. Albo my nie wiemy, że skorośwa oporzadzili wsyćko, to ino wziąć na ręce i nieść do dom... Tak i kwita.

Staś, wdzięczny za poparcie, mile się do dziewczyny uśmiechnął, szepejąc:

— A juści... a juści.

— Widzisz go, jaki mądry, kiej ma w Marychnie ochronicielkę — powiedziała Kaśka, ale przechodząc koło chłopca poklepała go przyjaźnie po twarzy — Ta i mnie żal twego pyska i karku... a chociaż psiawełna,

wyćko psecie bidulo nie jesteś sceniokiem, ino pańską krwią i basta.

Kaśka nie zapomniała nigdy, że ojciec Stasia, kiedy go ujrzała, wydał się jej „jaśniejszym panem“ od samego hrabiego z Zalesia.

Chwilę trwał namysł, co począć z meblami, narzecie zdanie Marysi przemogło. Kaśka ujęła kanapę *empire* z jednej strony, Maryśka z drugiej, Staś w środku popierał ramieniem i zaczęto dźwigać ciężki sprzęt ku wyszczerbionym i popękanyim stopniom wiodącym na ganek.

Wchodząca wówczas z powrotem na dziedziniec Dodalska — zdaleka spostrzegła mozolną operacyę.

— Cóż to znowu? — wrzasnęła — na co wnosicie meble!

— Abo prosę pani dziedzicki już wytrzepane.

— Ale kto kazał wnosić? czy ja kazałam, hę? co?... To pewnie ten niepoń, ten szczeniak obrzydły się rozporządził!

Pędziła co tylko tehu miała, a dobiegłszy do schodów krzyknęła:

— Zaraz mi zawracajcie... Do wieczora... co mówię... całą noc tu stać będą, żeby dobrze wywietrzały.

Rozjątrzona i niecierpliwa — wszystko złe zawsze dziecku przypisująca — ze złością pociągnęła Stasia z tyłu za włosy.

W oczach chłopca łzy się zakręciły, ale nie jęknął, nie sarknął. Nie wypuściwszy z rąk ciężaru, pomagał dalej dziewczkom dworskim do przeniesienia kanapy na miejsce, na którem stała przed kilku minutami.

— Odsunąć wszystko od domu... Ustawić na gazonie... Jeszcze dalej... tam... tak, dobrze — komenderowała pani Weronika, siedząc już na ganku.

Chłopiec, Marysia i Kaśka, przyzwyczajeni słu-  
chać bez namysłu, uwijali się raźnie. W kwadransie  
wszystkie meble stały na trawniku w pewnej, dość zna-  
cznej od dworu odległości.

Maryśka mruczała pod nosem :

— Bez całą noc tu stojąc mają, a to je rosa do  
seętu przemocy.

— Cichajcie, bójcie się Boga cichajcie, bo jescie  
pani usłysz — szepnął Staś.

— A niech sobie stoją, kiej tak każą — mówiła  
ciuchuteńko Kaśka, do towarzyszki — niech zmarnieją,  
kiedy ich taka wola.

— Czy już wszystko gotowe... skończyliście? —  
spytała Dodalska.

— Już prosę pani — odpowiedzieli we troje, jakby  
jednym głosem.

— No, to teraz ruszajcie do czeladnej... Zjeść  
obiad i bez mitręgi, jak codzień do zwykłej roboty!

Zbliżyła się do drzwi gankowych i ujęła za klam-  
kę — ale nagle się odwróciła.

— Ty.. hej!... słyszysz szczeniaku, że cię wołam.  
Staś przystanął.

— Po objedzie pójdziesz paść gęsi, koło młyna...  
wiesz... za kapustnikiem... Po wieczery zaś przyjdź  
wcześnie spać, żeby nie potrzeba było po ciebie po-  
syłać... Rozumiesz darmożjadzie.

— Rozumiem.

— Ruszajże.. a pamiętaj sobie... wcześnie, bo  
inaczej różgi!...

Chłopiec schylił głowę i wolno poszedł za dziew-  
kami do drugostronnej kuchni, gdzie już parobcy i  
fornale zasiedli ławy pod ścianą i milcząc spożywali --  
z dużych mis glinianych — żur z ziemniakami. .



Skoro się tylko ściemniło, Staś, niedojadłszy kolacyi — tak się bał ciotki — pospieszył do dworu, aby ułożyć się na spoczynek nocny. Okrążył dom i po kilkunastu wysokich a wązkich, kamiennych schodkach wszedł do kredensu, gdzie Kaśka nastawiała samowar, rozżarzając w nim węgle dziurawym butem, zamiast mieszka, ten bowiem miał podobno kiedyś istnieć — jak niosła głucha tradycya — ale oddawna gdzieś się zapodział.

— Idźcie do pani i powiedzcie, że się już spać kładę — rzekł, przechodząc.

— A ino! mam cas wsyćko rzucić i lecié na twoje rozkazy.

Chłopczyzna złożył ręce jak do modlitwy i błagał:

— Moja dobra Kasiu.... moja pocziwa Kasiu.... powiedzcie.... boby gotowa mnie uśmiercić.

— No, no.... nie strachaj się.... powiem już, powiem.

I poruszała butem, który pod ciężką ręką dziewczyny sapał chrapliwie. W około dziurkami przewierconej podstawy samowara, rozbryzgiwały się iskry gęsto, szybko gasnąc na podłodze.

— Nie zapomnijcie.... bardzo was prosę.

— Nie zapomnę.

— A pójdziecie zara?

— Rusajze mi prec, smarkalu. Kiej rzekłam ze powiem, to powiem i basta — wrzasła dziewczka zniecierpliwiona. Ale wnet ujęta pokorną i smutną minką Stasia, dodała: — Nie bój się bidulo... Widzis, niosę samowar do stołowego pokoju, zara zatem oświadcę, ze się juz kładzies.

— Na cem ze pani jeść będzie, kiej meble na dziedzińcu?

— Trocha znieśliwa z Maryską psed wiecorkiem do stołowego, kancelaryi i sypialnego. Tak kazała ona — i spojrzała znacząco w stronę jadalni, jakby wzrokiem objaśnić chciała, kto jest ta „ona“. — ~~Alle~~ rusajze spać gaduło, bo gotowa tu wlecić i wybić po pysku.

— Dziękuję wam, Kasiu... a pamiętajcie...

— Jesceś tu?!... Oj swędzi cie widzę pysek swędzi.

Staś się zarumienił; krew z serca do liców mu nabiegła.

Wszedł do dużej izby, zapełnionej mnóstwem żelaznych rupieci, leżących w bezładzie na podłodze. Były tam kawały lanego kruszcu, jakieś resztki kół zębatych popękanych, odłamy sztab kutych, obręcze od wozów, kłódki i zamki zepsute, kosy stępione, sierpy cienkie jak scyzoryki, siatki i rafki druciane poگیęte, piły połamane, podkowy starte, gwoździe — gontale, pęki kluczów i kluczyków. Na tych szczątkach machin i narzędzi, wyrobionych z najcenniejszego materiału, jakim na wsi jest żelazo — istne złoto dla gospodarzy rolnych — czerwieniały plamy rdzy, a izba przepelniona była jej duszną i ostrą wonią.

Tu się chłopczyk nie zatrzymał; szedł dalej.

Drugą izbę nazwaćby można było królestwem starych płócien, rzemieni, powrozów i parcianek. Na dużych kołkach drewnianych, wbitych w ścianę, wisały szleje porwane, zbutwiałym i gującym surowcem podszyte. Wielkie płachty szare i białe, zwieszały się na drągach, stojących po kątach. Płachty te podobne były do widm, jakimi wyobraźnia ludowa zaludnia cmentarze i pustkowia. Były to wańtuchy i wory. Kłębki szpagatu i kręgi sznurów, kawałki skór wyprawnych i niewyprawnych, skórki ze zdechłych baranów, po-

kryte nieostrzyżoną wełną — leżały pod dawno niebielonymi ścianami. Tu przykra i dusząca woń stęchlizny, unosiła się w powietrzu.

Cała ta część dworu — opustoszała, brudna, zaniedbana — służyła za skład na wszystko, co w gospodarstwie jeszcze się kiedyś przydać może, ale co już wyszło z codziennego użycia.

W trzeciej dopiero komnacie znajdowało się nocne legowisko Stasia.

Okna tej obszernej izby — równie jak poprzednich i kilku innych, zupełnie pustych, ciągnących się jeszcze za sobą dalej długim szeregiem — wychodziły na ogród. Wysoko nad podłogą w grubym murze wybite, oszkłone zczerniałymi od kurzu szybami, zamknięte szczelnie, jeszcze wyżej położone były na zewnątrz, dom bowiem w tem miejscu — od strony przeciwległej gankowi — stał na znacznie pochylającej się spadzistości. Kilka łokci pod niemi, za gzemsem, stanowiącym istotny początek mieszkalnego budynku, biegły w prostej linii, wzdłuż całej ściany równoległo boku, podłużne, okratowane okienka piwnic, także jeszcze dość wysoko nad grunt wzniesione. Dla patrzącego od ogrodu, ten mur kamienny z piwnicznymi okienkami, tworzący olbrzymią podstawę dworu — przedstawiał się jak parter, unoszący na swoich barkach pierwsze piętro. Nad nie dopiero, zsuwał swój szeroki okap dach ogromny, podobny — jakieśmy to już powiedzieli — do stosowanego kapelusza z czasów Księstwa Warszawskiego. Jakkolwiek ta połowa domu wyprowadzoną była z trwałego materiału od fundamentów aż pod samo gontowe pokrycie — a frontowa posiadała tylko trzyłokciowe podmurowanie, na niem zaś ściany z drzewa i muru pruskiego — jednakże zniszczenie i upadek — tak ze-

wnątrz jak wewnątrz — uwidoczniały się tu bardziej jeszcze, niż od strony dziedzińca.

W sypialni Stasia, sufit płócienny, w kilku miejscach przedarty, zwieszał się brudny, zakurzony jak salky żebracze. Nad oknami pożółkł i zgnił zupełnie; tu bowiem, ile razy deszcz padał, zaciekała woda, zaфарbowana nieczystościami strychu i pułapu. Sączyła się dalej po murze, niegdyś bielonym, dziś z pod tego dawnego, wapiennego bielidła i tynku wyszczerzającym szare kamienie i jaskrawe cegły. W rogu pokoju stał piec duży — tak zwana „gruba“ — gliną żółtą wylepiony. Brakło w nim drzwiczek, a w szerokim otworze, odsłaniającym palenisko, nie było i śladu popiołu, tylko kupa śmieci. Ile razy wiatr tu się dostał kominem, wył przeciągle, żałośnie — i kręcił śmieciami jak pyłem na gościńcu. Pomędzy jednym a drugim oknem, wszere ściany, wiło się wężykiem pęknięcie wązkie lecz głębokie. Podłoga miejscami spaczona i wygięta, miejscami zupełnie pozbawioną była desek. W przeciwległym piecowi rogu izby stała paka szeroka i wysoka, z grubych bali zbita, a w niej sypiał chłopczyna.

Rozmaite miała przeznaczenia i różne przeszła koleje, zanim się dostała do dworu.

Zrobiono ją najprzód do zacierania w niej sieczki z miazgą — umieloną gniotownikiem *vel* szarpaczem — z roślin okopowych: buraków pastewnych, rzepy ściernistej, nawet marchwi; strawą tą bowiem przedsiębiorczy — w początkach swego gospodarstwa — Kubuś, chciał karmić krowy, dla zwiększenia wydajności mleka. Ale sprzedaż mleka na kwarty w sąsiednim, nazbyt biednym i niedość ludnym miasteczku nie przyniosła spodziewanych rezultatów; krowy puszczone w pacht, a pakę wyrzucono z obory na okólnik. Po niejakiś czasie, w srogą zimę, wniesiono ją do ow-

czarni i napełniono wodą. Wodę — pod wpływem cieplej temperatury ogrzaną — rozlewano w żłobki drewniane i poiono nią jagnięta, aby nie wypędzać delikatnych stworzeń na mróz i śnieżyce, do studni lub pod pompę. W miarę jednak jak wszystkie niepowodzenia gospodarze zaczęły nawiedzać Krasnosójki i cienkowetniste Elekty i Negretti — pasane nieoględnie na saposwatyach gruntach — wyzdychały na motylicę i na kulawkę źle leczoną. Merynosy, o krwi szlachtetnej, ustąpiły miejsca owcom pospolitym, a dla tych nie warto było zadawać sobie tyle fadygi, żeby wodę wozić, pakę nią napełniać, czekać aż się ociepli i dopiero ogrzaną w żłobki przelewać. Tak zwane „świniarki“ obejść się mogły bez tych wszystkich ceremonij. Znowu zatem wyrzucono pakę na okólnik i byłaby tam niezawodnie rozleciała się i zgnęła, gdyby pani Weronika nie uznała za stosowne, kazać ją wnieść do jednej z pustych komnat dworu, przeznaczając na brudną bieliznę.

Wiemy już, kiedy zainstalowano w niej Stasia, oraz jakim posłaniem musiał się kontentować biedny chłopczyzna.

Mrok zapadał, kiedy głodne i znużone dziecko weszło do swego sypialnego pokoju.

Staś, nauczony przez Janię polskiego pacierza, ukląkł w ciszy, jaka tu panowała, przeżegnał się i zmówił głośno, dość poprawnie, „Ojcze nasz“ i „Zdrowaś Marya“. Z „Wierzę“ poszło mu trochę trudniej, nie pojmował bowiem znaczenia modlitwy, a wyrazy francuskiego *credo*, tkwiąc uporczywie w pamięci, mięszały mu się na języku z polskimi.

Ojciec niebieski, słuchający gdzieś w górze tego wyznania wiary — niezrozumianej, ale odczutej głęboko, płynącej wprost z serca — przyjął je pewnie równie mile jak hymny serafinów i cherubinów.

Chłopczyk nie potrzebował się rozbierać, miał bowiem na sobie zgrzebną koszulinę — i nic więcej. Tak, jak stał zatem, wdrapał się na krawędź paki i spuścił się do wnętrza. Na dnie nie było wprawdzie brudów, ale jakaś dobroczynna ręka, może Kaśki a może Marysi (tak w duchu Staś myślał) rzuciła — po raz pierwszy — wiązkę siana i mnóstwo starych gałganów.

Staś wyciągnął się na nich rozkosznie i patrzył w sufit, coraz bardziej zasłaniający się cieniami nocy.

Chociaż całe dnie spędzał z prostymi ludźmi — wierzącymi w strachy i upiory — wieczorami nigdy z nimi nie przebywał razem, nie nasłuchiwał się zatem ani baśni o widmach i wilkołakach, ani opowiadań o czarcie i jego figlach, jakie wieśniacy i wieśniaczki nasze prawią przy roznieconych na kominach ogniskach. O nadprzyrodzonych rzeczach nie miał pojęcia; nie lękał się ich wcale. W ciemnych, dużych izbach, przez które przechodził i w której sypiał, nic nigdy go nie straszło. Dla niego cały ogrom obawy, wrodzonej nerwowi i wyobraźni ludzkiej, skoncentrował się na przerażającej postaci i ohydnej twarzy ciotki. Ta, groźną mu była we śnie i na jawie.

Dziś, kładąc się, myślał także o niej. Szczęściem z brzydkim i wstrętnym wizerunkiem pani Weroniki, rysującym się przed jego zamglonemi oczami, zmieszał się obraz Jani... takiej cudnej... takiej ślicznej.

Śnił często... zawsze prawie... Więc się uśmiechał, pełen nadziei, że śnić będzie radośnie, szczęśliwie.

Chłopczyzna zaszyła się w gałgany jak Rozbój w słomę swojej budy... Ociężałe powieki przymykały się powoli, aż się całkiem zamknęły... W chwilę potem spał już na dobre... Musiał jednak być mocno głodny

i mocno znudzony pracą i wrażeniami dnia, który upłynął, bo sny jego były przykre i męczące.

Wyobrażał sobie, że ciotka goni go po drodze, krzycząc: „Ty szczeniaku przeklęty!“ .. On ucieka, ucieka... raptem pada wśród gościńca i czuje, że pani Weronika chwyta go za kołnierz i podnosi...

Wstrząsnął się i przewrócił z boku na wznak. Inny teraz obraz stworzyło dlań senne marzenie.

Pędzi białe gęsi po zielonej łące... Wtem... ziemia roztwiera mu się pod nogami... Spada, spada... w czarną przepaść... w dół głęboki... Leci, aż mu dech w piersi się zapiera... Dym kłębiący się z dołu dławi go, dusi... Wtem na obłoku ognistym spływa Jania... Trzyma białą figurkę porcelanową z wyobrażeniem Matki Boskiej i Dzieciątka Jezus — taką samą, jak stojąca na pułeczce w zwierciadlanej serwantce — spływa... spływa... chociaż iskry się sypią z pod obłoku... raczkę mu podaje i wyciąga go z otchłani.

Wtem trzask okropny, jakby się dach walił na sufit, przebudził go ze snu nagle.

Zerwał się na równe nogi, chwycił za krawędź paki, wysunął się nad nią, unosząc na rękach, ile mu tylko siły pozwoliły; spojrział w okno i, przerażony blaskiem, jaki zobaczył przez okopcone i brudne szyby, krzyknął drżącym od wzruszenia głosem:

— Gore!

W ogrodzie czy na dziedzińcu okrzyk jego powtórzyło kilkanaście piersi.

— Gore! gore!... Hej! i dwór się pali.

Chłopczyna pozostał tak chwilę, z ustami rozwartemi, nie wiedząc co począć.

Myślał, że jakiś nowy sen straszny dalej go udręcza. Tymczasem płomień, tuż nad jego głową, weiskał się już przez szczeliny pękającego pułapu, obej-

mował swemi pomarańczowemi językami płótno podarte i zwieszane, zwijał je w trąbki, kurczące się, czarne, błękitnawem zarzewiem bramowane na ząbkach, potem rozsypujące się lekkim jak puch popiołem na podłogę.

Wyskoczył z paki i wbiegł do izby na prawo

Ogień, który się tu wgrzył wcześniej, gospodarował po swojemu wśród wańtuchów, szlei i worków, napełniając pokój swądm nieznośnym. Po postronkach, uczepionych u kołków, migały punkciki błyszczące; biegły one w dół, a powrozy od nich czerniały jak węgle. Popielaty, gęsty jak mgła obłok zasłaniał płonący sufit; czasem tylko przebijała go nagle jaskrawsza czerwoność. Duszo tu było strasznie.

Pomimo zasłony dymu, coraz bardziej opuszczającej się ku ziemi, Staś trafił do komnaty, gdzie leżały rdzewiejące żelaza. Przez szczątki narzędzi i machin rolniczych — kalecząc o nie bosc nogi — dotarł do drzwi kredensowych — lecz otworzyć ich nie zdołał. Szarpał za klamkę, targał z całej mocy — nic nie pomogło. Były z zewnątrz na klucz zamknięte.

Po daremnych usiłowaniach rozwarcia grubych, dębowych podwoi, już prawie na oślep, wśród kłębow dymu, wrócił do sypialni.

Tu szyby w oknach popękały i padając, kruszyły się ze szczękiem. Wciskające się gwałtem powietrze wytworzyło przeciąg i sufit palił się pełnym płomieniem. Już płótna nie było i śladu; tlejące deski trzeszczały przeraźliwie.

Staś poskoczył teraz w stronę przeciwną, na lewo, ku drzwiom, wiodącym do szeregu pustych komnat. Tam niebezpieczeństwo zdawało się mniejsze, łomot walących się na pułap belek nie tak groźnym rozlegał się echem, widocznie dach nad temi pokojami



musiał trzymać się jeszcze, opierając niszczącemu żywiołowi.

Ze względną przytomnością umysłu chłopiec zamknął drzwi za sobą i zasunął szufrygiel, aby dymu nie wpuścić.

Korzystając z chwilowego spokoju, rozmyślał, co miał dalej uczynić. Postanowił wdrzeć się na framugę jednego z okien, wyłamać je lub otworzyć i skoczyć ztamtąd do sadu. Wprawdzie to skok niebezpieczny, bo wysokość wielka, ale może się uchwyci gałęzi bliskiego, rozłożystego drzewa; może spuści się po rynnie; a zresztą nie ma innego ratunku, i tu bowiem drzwi, któremi w stronę ganku przedostać się wypada, pozamykane szczelnie na dwa spusty.

Niestety! malec dobrego swego zamysłu skutecznie nie był w stanie. Od podłogi do okien, wysokość — jak w więzieniach — wynosiła kilka łokci. Pomimo zręczności, pomimo muskułów gibkich i rozwiniętych, po gładkiej ścianie nie mógł się wdrapać na framugę. Wspinał się, podskakiwał, palce o mur krwawił, skórę na kolanach ścierał — i opadał po chwili jak martwy, znużony próżnem wysileniem. Szedł dalej do innej izby, i znowu do innej, wszędzie tegoż samego środka ratunku próbując, wszędzie z jednakiem niepowodzeniem.

Tymczasem ogień biegł za nim górą, po sufitych — gonił go coraz gwałtowniej, coraz żwawiej.

Dach palił się już wszędzie, na całym domostwie.

Wszystkie pokoje zalegał dym czarny, gęsty, gorący, skłębiony, tamujący oddech, szczypiący w oczy.

Włosy na głowie chłopczyny powstały, zimny pot oblał ciało, tętna w skroniach biły potokami krwi wezbranej, czoło poczerwieniało; — tylko blizna z Mau-

beuge, jak szew na purpurowej materyi, świeciła białością.

Oszalały z przestachu, zaczął biegać po izbach.

Chroniąc się instynktownie przed gorejącemi deskami, spadającemi z sufitów, przyciskał się do każdej drzwi. Nic nie widział, z niczego nie zdawał sobie sprawy, tylko mniemał, że w zagłębieniach, framugach i wśród futryn podwoi czuć się będzie bezpieczniejszym, niż w środku pokoju. Może mimowoli wierzył w interwencję przypadku i liczył, że które z nich się otworzą. Kto wie?.. może..

Zbieg okoliczności sprzyja niekiedy podobnym nadziejom i złudzeniom.

Staś oparł się plecami o jakieś drzwi i zaciężył na nich bezwiednie brzemieniem swego znużonego ciała. Pod tym naciskiem obluźnione widocznie zasuwki ustąpiły, zamek puścił a podwoje usunęły się nagle. Chłopczyk, tem niespodzianem rozwarciem zaskoczony z nienacka, padł jak długi na wznak na posadzkę salonu.

Tu płomień panował wszechwładnie, ale z sieni i ganku dolatywało trochę świeżego powietrza, które na chwilę przynajmniej przywróciło dziecku przytomność.

Staś podniósł się. Nadzieja wstąpiła w jego serce, chociaż przeprawa aż do ganku była jeszcze nader niebezpieczną i trudną.

Sufit w salonie zawalił się; ściany drewniane i z pruskiego muru ogień objął i trawił powoli; belki, bale, deski płonęły, jak niekształtny, olbrzymi stos nierówno rozrzuconego drzewa. Trzeba było omijać ogromne głownie, gorejące niby pochodnie Trzeba było nie dać zająć się koszuli; przedrzeć się przez te zawaly

wybiecz na dziedziniec, z kąd dolatywały głosy ludzkie, zmieszane w jedną wielką wrzawę.

Odważnie ruszył naprzód, bo gwar, który słyszał, dodawał mu otuchy.

Zaledwie kilka kroków oddzielało Stasia od sieni i ganku, chociaż istotnie cudu potrzeba było, ażeby się wydostać z tego labiryntu ognia. Należało omijać kupy rozżarzonych zgliszczy. Bose nogi chłopca grzęzły w gorejącej, tu i owdzie zaczynającej się palić, a wszędzie niemal zapadającej się pod stopami posadzce salonu, ułożonej z gruszkowych i dębowych dwubarwnych tafelek. Co chwila chwiał się i potykał, albo dymem owiany, tracił oddech; — co chwila czuł się bliskim upadku i zguby. Był jak pijany... zataczał się, ale walczył mężnie z przeszkodami i osłabieniem. Włosy zajmowały mu się na głowie; — gasił je dłonią. Skakał ciągle jak koza przez płomienie, okrążając niebezpieczniejsze miejsca.

W ten sposób dobiegł do sieni.

Zmęczony, czarny od dymu, poparzony, stanął w drzwiach ganku rozwartych na rozcież. Chciał już jednym susem rzucić się ku ludziom na dziedzińcu, ale daszek nad gankiem, oparty na dwóch murowanych kolumnach, zaczął chwiać się i trzeszczeć. Przepalone w środku belki i krokwie zwały się ze strasznym łoskotem, sypiąc iskrami w około. Kilka gontów w płomieniach — złączonych z sobą kawałkiem łąty, do której były gwoździami przybite — zakreśliły się, sycząc w powietrzu i zleciały na głowę wysuwającego się do skoku dziecka.

Pod tem niespodzianem uderzeniem padł Staś wśród ganku. Z piersi jego wyrwał się krzyk chrapliwy :

— Ratujcie !

Tłum wieśniaków i wieśniaczek, zbity w ciemną masę, patrzył filozoficznie — może nawet ironicznie — na zabudowania gospodarcze, które ogień kończył pożerać. Przybyli ratować, lecz ratunek prawie od razu był niemożliwy. Tam nikt się nie zajmował domem i tem co się w nim działo. Zaledwie kilkanaście osób, przeważnie parobków, fernali i dziewczek piekarnianych śledziło postęp pożaru we dworze.

Do tej gromadki domowników Krasnosójeckich ugrupowanej na trawniku, doleciał krzyk chłopca, chociaż słaby i zagłuszony łomotem walących się belek.

Pierwsza, która go usłyszała, była pani Weronika.

Krzyk — podobny do jęku konania — wstrząsnął całą jej istotą. Pobladła ... Zdawało się, że czerwony trąd rozlany na licach wsiąknął w pomarszczoną, pargaminową i jak pargamin bladą skórę jej twarzy. Zgrzytnęła zębami, ale drzeć poczęła. Coś strasznego miotało duszą złej kobiety. Chciała się ruszyć — nie mogła. Niewidzialna siła przykuwała ją do trawnika. Jakieś wycie szatańskie, zdławione spazmatycznym kurczem gardła, poruszyło jej wargami. Powtórzyła za dzieckiem ciszej, lecz chrapliwiej:

— Ratujcie!

Kaśka także spostrzegła Stasia, chociaż dym szybko jej go przed oczami zasłonił. Wrzasła głośno z całej piersi płuc zdrowych i silnych jak miechy.

— Staś! .. bidula! .. panicz jasnego brata.

Zapominając o groźnem niebezpieczeństwie, zerwała się z miejsca chyżo i rzuciła po schodkach ceglanych ku dziecku.

— Kaśka ostrożnie! .. Kaśka bój się Boga! .. Hej! od siebie! — wołali fernali i parobcy, podziwiając odwagę poczciwej dziewczyny, poświęcającej się

bez namysłu i rachuby, aby nieść pomoc znieawidzonemu przez panią bratankowi.

Istotnie potrzeba było niemałego baczenia i ostrożności, aby nie zginąć marnie wśród tego palącego się rumowiska, jakie ganek dworu przedstawiał. Na stopniach i na tarasie samym leżały skrzyżowane, płonące belki, z wzbijającymi się w górę pomarańczowemi płomieniami, syczącymi jak węże.

Jedna belka — dotąd nieprzepalona do szczętu przy końcu wmurowanym w kapitel kolumny — wyglądała jak żagiew, jak jakiś straszny sygnał pożaru i zniszczenia. Razem z kolumną tworzyła rodzaj gorejącej szubienicy.

Z pochyłego dachu — tu i owdzie trzymającego się jeszcze — sypały się rozżarzone gonty. Niektóre, czerwone jak żelazo, pękały i rozbryzgiwały się niby race kongrewskie lub fajerwerki.

Głupia Kaśka (tak ją wszyscy zwali), widząc, że każda chwila droga, nogą odrzuciła szar gontów, przywalających Stasia, pochwyliła nieprzytomne dziecko w ramiona i zwróciła się nazad ku stopniom.

Główka chłopczyka, zwieszona bezwładnie, zdaleka wydawała się martwą.

Mrowie przebiegło po ciele pani Weroniki.

— Zabity!... zabity! — jęknęła, trzęsąc się jak w febrze.

Jęk to był wilezycy, osaczonej przez psów i myśliwych, jakiś dziki, a jednak strasznie bolesny, pełen żalu i rozpacz.

Kaśka z trudnością dźwigała chłopca. Ciężył jej... zwłaszcza, że droga przez ganek była zawałona i niełatwa do przebycia.

Płomienna żagiew na kolumnie, szybko przepalając się w powietrzu, zaczęła się krzywić i pochylać, tuż tuż prawie nad dziewczyną.

— Kaśka!... Kaśka!... belka! — wrzeszczał wszyscy.

Kaśka żywo się cofnęła. Dymiąca poprzecznicą przeleciawszy prawie koło głowy chłopczyka i dziewczki, spadła jej pod nogi i zaraz potem stoczyła się po stopniach. Wtedy Kaśka, nie zwlekając dłużej, rzuciła się naprzód, zbiegła po schodach — i z dzieckiem, którego z rąk nie wypuściła, upadła niemal na trawnik perlący się od rosy porannej.

Wybawicielka i ocalony, znaleźli się nagle u stóp Dodalskiej.

Wszyscy zbiegli się w to miejsce, aby cucić zemdłego.

• Pani Weronika, jak automat, przyklękła także. Wzięła poparzone nóżki Stasia w ręce i jęczała. Ani jeden wyraz z ust jej się nie wydobywał, tylko jakieś zawodzenie żałośnie, przejmujące dreszczem.

Staś oczy otworzył... Spojrzał wzrokiem zamgłym...

W tej chwili właśnie olbrzymi dach dworu, gdzieś niegdzie trzymający się jeszcze i dumnie — ku łunie na niebie — szczyt swój wznoszący, runął z przeciągłym hałasem, gniotąc i krusząc frontowe i wewnętrzne ściany. Ten upadek, jakby skinieniem różeczki czarodziejskiej spowodowany, odkrył tylne, kamienne mury domu od strony ogrodu. Wysokie, jaskrawo oświecone, podziurawione wysoko wybitymi w nich oknami, temi pustymi otworami patrzyły teraz obojętnie na ścielącą się u ich podnóży falę ognia. Pożar wyłupił im ich szklane źrenice.

Wzrok chłopca zwrócił się w przeciwną stronę, za kląby drzew i krzewów.

Na gumnach szczątki budynków gospodarskich to-  
nęły w płomieniach i dymie. Szepnął, obejmując Kasię  
za szyję:

— O!... ty dobra!

Nagle spostrzegł bladą, okropną, straszniejszą dłoń  
od pożaru twarz ciotki... i zemdłał.

---

## VIII.

### U przybranej mamy.

Po pożarze, przeleżał Staś kilka tygodni w łóżku.

Doktor z sąsiedniego miasteczka... człowiek rozumny... istotnie wyższy sercem i umysłem — przyjaciel, niemal dobroczyńca całej okolicy, wątpił, ażali natura, sprzymierzona ze sztuką lekarską, zdoła go utrzymać przy życiu. Ale są rzeczy na ziemi, o których się nie śniło nawet... najlepszym medykom.

Chłopczyk wyzdrowiał.

Do wyzdrowienia przyczyniły się niezawodnie pełne poświęceń starania ciotki Weroniki, która z zaparciem się bezwzględnem dnie i noce spędzała przy malcu, podając mu lekarstwa, zmieniając chłodzące okłady, jak siostra miłosierdzia opatrując sparzelizny, gotowa na najłżejsze jego skinienie ukazywać się i znikać, kryć i powracać.

Fantazyja chorego zmuszała ją do tych ewolucyj. Raz obawiał się Dodalskiej, drżał jak liść na jej widok — to znowu, zbałamucony i oszukany marzeniem tulił się do ciotki, jakby do której z istot ukochanych: do matki, do babki, Karola i Jani.



Wizerunki pierwszych już zupełnie zatarły się w pamięci. Wyobraźnia malowała je nowemi, urocze-  
mi... ale urojonemi barwami.

Staś, pod władzą gorączki — długo pozostawał bezprzytomny. Wtedy to rola Dodalskiej była najcięższą i najprzykrzejszą. Chłopczyk majaczył, plótł trzy po trzy... mówił... a każde niemal jego słowo było oskarżeniem okropnem.

Pocziwy Kubuś — jakkolwiek niemądry — wiele rzeczy z tych gorączkowych rewelacyj zrozumiał, których lekarz i ludzie obcy — nieznający dobrze stosunków domowych — pojąć nie mogli.

To też biedny mąż zawojowany, w ciągu dni kilku posiwiiał.

Wszyscy przypisywali to kłopotom i zmartwie-  
niom, jakich pożar stał się przyczyną, bo oprócz strat ogromnych, poniesionych przez Dodalskich, zagrażał im proces kryminalny. Całe sąsiedztwo mówiło głośno, że ogień w Krasnosójkach był dziełem samych dziedziców, w celu podniesienia wysokiej asekuracji.

Kubuś, chociaż czuł się niezwyklem brzemieniem nieszczęść przygnieciony, mniej cierpiał z przyczyny interesów; nawet myśl o zagrażającej mu hańbie mniej go udręczała, niż choroba dziecka... niż jej tajemniczy powód.

Do smutnych skutków dyplomacyi „żoneczki“ był potroszę oddawna przygotowany. Przewidywał, że to, co magnifika jego dla uratowania majątku planuje i czyni, musi się źle skończyć; nigdy jednak w głowie jego nie powstało, aby kobieta... chrześcianka... do której przywiązał się dobrodusznie... mogła się posunąć aż do zbrodni.

— Och!... och! to okropność — wciął, chwytając się oburącz za włosy, targając sumiaste wąsy i

długą, przed czasem śniegiem siwizny przypruszoną brodę.

Takie myśli, jak błyskawice, przelatowały mu przez mózg pomięszany... ale przelatując, wstrząsały elektrycznie całą jego istotą.

Biedny Kubuś nie ze wszystkiego mógł zdać sobie sprawę.

Samo przypuszczenie, samo posądzenie zdawało mu się grzechem.

Uciekał z czworaka — do którego trzeba było się przenieść po pożarze i w którym leżało dziecko w łóżku, trawione gorączką — a wyszedłszy przed drzwi kładł na czole chmurnem znak krzyża świętego i biegł w pole lub do lasu, żeby nie widzieć... nie słyszeć...

Szczęściem obecność jego przy Stasiu niepotrzebną była wcale, ciotka bowiem podwajała się, potrajała w staraniach, opiece poświęceniu.

Przesądna nienawiść do bratanka może i nie wygasła jeszcze w jej zgangrenowanym sercu, ale strach i obawa wszechwładniej w niem panowały od nienawiści. Pani Weronika życie swoje oddałaby chętnie, aby tylko życie Stasia utrzymać — aby wyrugować z pamięci wrażenia okropne, jakich doznała, kiedy dwór się palił. Moralne katusze, przebyte w czasie pożaru, ponawiały się za każdym jękiem biednego chłopca, po każdym wyrazie, który ze spalonych gorączką ust jego wychodził. Wszystkie męczarnie Madeja, były niczem w porównaniu z torturą, jakiej poddawało ją codziennie — w przerażeniu zbudzone — sumienie.

Staś, po długiej walce życia ze śmiercią i silnego organizmu z trawiącą gorączką, wyzdrowiał nareszcie. Rekonwalescencya — jak zwykle u dzieci — trwała krótko.

Karol wynalazł podówczas dla siebie jakąś posadę w Warszawie. Przyjechał więc po syna i zabrał z sobą do stolicy. Tu umieścił go u pani Bolewskiej, kobiety dobrej i zacnej, jakich mało na świecie. Sam mieszkał u niej także, oczekując na z góry przyobiecany mu pensans, aby, po otrzymaniu wyższej pensyi, nająć własne mieszkanie i żonę — za którą tęsknił — z Paryża sprowadzić.

Stasiowi u poczciwej Litwinki było jak w raju. Odrazu przywiązał się do niej i „mamą“ nazywać zaczął. W ciepłej atmosferze miłości, jaką go otaczała, dusza jego ocknęła się zupełnie.

Pani Irena, wychowana w dobrych, dawnych — dziś przez świat zapomnianych — zasadach, uważała pokrewieństwo za rodzaj świętego zakonu, za rodzaj zbiorowego ciała, w którym wszyscy, związkami krwi połączeni, obowiązani byli w potrzebie nieść sobie pomoc wzajemną. Rozporządzająca nader skromnym fundasikiem, ale rządną i dla siebie samej oszczędna, bez najbliższej rodziny — mąż bowiem i dwóch synów odumarli ją dawno — żyła na to tylko na tym padole płaczu, aby być użyteczną swoim i obcym.

Przybycie dziecka do domu stało się dla niej niewymowną rozkoszą.

W jednej chwili oceniła właściwie charakter Stasia; pod szorstką i twardą powłoką dzikości odkryła złote serce. Rozwijać, kierować wrodzonymi skłonnościami tego serca, było jej zadaniem najjuilszem.

Pod dobroczynnym i szlachetnym wpływem edukacyi, przedsięwziętej przez zacną matronę, chłopczyk otrząsał się ze swej chłopskiej gburowatości, zapominał ludowego narzecza, przyjmując od nowej opiekunki śpiewny — przewlekający wyrazy — akcent litewski,

którego Bolewska pozbyć się nie umiała, pomimo dżego i dawnego zamieszkiwania w Warszawie

Złe, doznane w Krasnosójkach Staś zapomniał szybko, a łatwiej jeszcze przebaczył. Nawet przez „mamą“ nigdy się na ciotkę nie skarżył i na minioną dolę nie narzekał. Bolewska dowiedziała się o wszystkim powoli, dzięki dystrakcyi dziecinniej i potrzebie wywnętrzenia się, jakiej w tym wieku zawsze się doznaje, kiedy szczęście do nas się uśmiecha.

W miarę jak czas upływał — oprócz serca — wszystko się w chłopcu zmieniało: umysł, zachowanie się, nawet powierzchowność i ruchy, które z ciężkich, ostrych i zbyt rozkołysanych, stały się swobodne, a okrągłe i miarkowane wrodzonym uczuciem dobrego smaku.

Chłopczyną uczył się pilnie, garnąc się do nauki chciwie, zwłaszcza kiedy mu jej udzielała jego opiekunka ukochana. W ciągu kilku miesięcy czytał już i pisał wcale nieźle, a chociaż zgrubiała na wsi ręka nie mogła ułożyć się do kaligraficznego stawiania liter, błędów ortograficznych nie popełniał niemal wcale.

Nie rozumiejąc prawideł gramatyki, czuł, że mu je ucho dyktowało.

Miał wielką skłonność do rysunków i pragnął gorąco zostać malarzem. Bolewska — pomimo, że tego rodzaju wydatek przeciążał jej budżet oddawna rozlicznymi dobrymi uczynkami obarczony — wyszukała młodego artystę z talentem, który za skromne wynagrodzenie przychodził do domu codziennie. Pod kierunkiem pana Artura, rysował Staś z gipsu a nawet z natury.

Do wczesnego rysowania z natury popchnął go przypadek, jedno z tych drobnych zdarzeń życia po-

wszedniego, które nieraz o losach człowieka rozstrzy-

Pewnego wieczora, siedział z rejsbretem przy lampie. Bolewska patrzyła nań z radością. Cieszyła się poczciwa niewiasta, widząc to nagłe przekształcenie, jakie przeobraziło nieokrzesanego parobeczka, dobiegającego już lat dwunastu, w chłopczyka, który mógł współzawodniczyć w manierach z dziećmi, urodzonymi w kołyskach złoconych, wychowanymi wśród przepychu i w najdystyngowańszych towarzystwach. Przekształcenie to było jej dziełem wyłącznym, gdyż Karol — chociaż zdawał się kochać Stasia jak Maubenge — nietylko nie pomagał i nie przyczyniał się do edukacyi syna, ale nawet krzywił ją niekiedy. Zajęty w biurze, rozrywany przez przyjaciół, czekał na podwyższenie pensyi jak na zbawienie, lękając się ciągle nowych i nieprzewidzianych zawodów.

Staś, pochylony nad grubym papierem, przyklejonym do kwadratowej deski, rysował coś tak gorączkowo, tak żwawo, tak pilnie, że nie widział, co się koło niego dzieje. Rumieniec wystąpił mu na twarz, w skroniach biły tętna gwałtownie — widocznie duchem i myślą utonął w odtwarzanym przez siebie przedmiocie.

Kredka, silną ręką trzymana — energicznie, pewnie i śmiało kreśliła rysy ślicznego dziewczątka.

— Kogo to wyrysowałeś synku? — spytała Bolewska swoim śpiewnym akcentem.

— Janię — odparł chłopiec, podnosząc w górę nad rejsbretem zwieszoną głowę.

Bolewska w pierwszej chwili nie zrozumiała odpowiedzi.

— Czyżże to portrecik? — ponowiła pytanie.

Wiedziała, że Staś — prócz kilku osób nawiedzających ją czasem — nie zna nikogo w Warszawie.

— Janię — powtórzył raz jeszcze chłopczyk. —  
A! prawda!... nie mówiłem nic jeszcze mamie o Jani.

W krótkich, prostych wyrazach — w których dźwięczała jednakże struna uwielbienia i zachwytu — opowiedział Staś poznanie swoje z dziewczynką i jej tygodniowy pobyt na wsi. Bolewska słuchała go uważnie.

— Wyrysowałeś ją zatem z pamięci?...

— Tak.

Jakże ci się zdaje, czy schwyciłeś podobieństwo?

— Nie wiem... Dawno już z nią razem nie byłem... chociaż w snach widuję ją taką, jak tu na papierze... Oh! nie, nie... daleko piękniejszą.

— Spotykałam się z jej ojcem przed laty u pani starościny Nureckiej... Człowiek zacny, pełen honoru, rozumny... Ha! kiedy tak się lubicie, trzeba będzie odnowić znajomość i złożyć mu wizytę.

Chłopiec rzucił rejzbret i zaczął rękę opiekunki całować.

— Jakaś ty mammo dobra!... jakaś ty dobra!... O! ciebie to wyrysowałbym podobną... jak dwie krople wody podobną... Czekał... zaraz.

Chwycił za kredkę, siadł, deskę o stół oparł, rzucił na nią drugi czysty papier i zaczął rysować z natury.

— Mamusiu, zwróć trochę głowę na prawo... Wyżej... tak mateczko... dobrze.

W kilkanaście minut portret był gotów i istotnie podobny.

Nazajutrz pan Artur pochwalił równie pracę „z pamięci“ jak i pracę „z natury“, mówiąc do Bolewskiej po cichu:

— Proszę pani dobrodziejki, dziwny to rodzaj talentu... bo że go Staś posiada, to nie ulega najlżej-

szej wątpliwości. Co rysuje z głowy, to rysuje miernie, a co sercem to dobrze... bardzo dobrze. Uczucie jest głównym motywem jego twórczości.

Pani Irena uśmiechnęła się łagodnie.

— Tak to widać Bóg dał za swoją sprawą wszechmocną... Dziecko grzeszy nadmiarem tego, czego w rodzie jego brakło od dość dawna.

Po lekyi, kiedy zadowolony z ucznia nauczyciel wyszedł, Bolewska zbliżyła się do Stasia.

— Co myślisz... a gdybym się też ubrała i poszła w odwiedziny do mecenasa... ojca Jani... Mam właśnie o coś się go poradzić.

Chłopiec nie ruszył się z krzesła, nie nie odpowiedział, tylko oczy jego zabłyśły niewypowiedzianą radością. Objął przybraną matkę za szyję i usta jej do swoich ust przycisnął.

— Drugą wizytę oddamy razem... Dziś się sama wybiorę.

Wtem służąca wniosła „Kuryera Warszawskiego.“

— Czekał, czekał... muszę naprzód przerzucić Kuryerka.

Siadła w swoim wygodnym krześle o szerokich poręczach, białym kolorem polakierowanych, wyjęła ze skórzanego futeralika okulary, włożyła je na nos i zaczęła kościanym nożem rozcinać kartki pisemka.

Bolewska rozpoczynała zawsze lekturę ulubionego dzienniczka od nekrologii. Po umarłych przechodziła dopiero do żywych.

W pewnym wieku najbardziej interesują wieści o tych co nas opuszczają, co odchodzą przez drzwi grobu... daleko, daleko, do lepszej nieznanej krainy, gdzie i my wkrótce za nimi podążymy.

Na czwartej stronie „Kuryera“ długa szpalta czerniła się gęstymi krzyżykami.

Gazetka wypadła z rąk pani Ireny.

— O mój Boże! — rzekła — nie z mojej wizyty. Ojciec Jani umarł wczoraj po długiej i ciężkiej chorobie. .. Jutro pogrzeb.

Staś zerwał się z miejsca.

— Umarł — zawołał — o! jakaż ona nieszczęśliwa!

Łza potoczyła mu się po licach. Był blady — zwiesił głowę na piersi.

Pani Irena przyciągnęła do siebie chłopca, który ukląkł przy niej i ukrył twarz w dłonie. Staruszka całowała go szepecząc:

— Wola Boska!... wola święta! Pójdziemy jutro razem na Powązki... za jego trumną.

---



## IX.

### Pogrzeb.

Mróz dochodził kilkunastu stopni.

Niebo szare do południa, około godziny pierwszej rozjaśniło się pogodą. Słońce zimowe wlekło się leniwie po bladym błękicie, rzucając na śnieg uliczny, brudny, zdeptany przez konie i ludzi — ukośne, rażące oczy promienie.

Przed schodami kościoła Świętego Krzyża gromadzili się mężczyźni i kobiety, różnego stanu i wieku. Co chwila liczba ich się zwiększała.

Długie szeregi karet i powozów, ustawionych w kilka rzędów, zalegały znaczną przestrzeń rozszerzającego się tu Krakowskiego Przedmieścia, od świątyni do posągu Kopernika.

Zajechał karawan, srebrnymi emblematami śmierci przyozdobiony, zaprzężony w cztery konie. Cichy, ponury, otoczony swoją gwardyą żałobną, trzymającą pochodnie jak broń u nogi, stanął naprzeciw rozwartych drzwi, za którymi ciągnął się długi, ciemny kurytarz, gdzieś w głębi dopiero oświecony mnóstwem gromnie płonących.

Przed karawanem formowały się zastępy sierót z ochronek, zakonników z różnych klasztorów i księży świeckich.

Staś i Bolewska, zmieszani z tłumem, stali na chodniku, oparci o słupy kamienne, połączone z sobą grubemi, żelaznemi łańcuchami.

Z dolnego kościoła wyszedł chłopiec z krzyżem, a za nim duchowny o siwym włosie, o wyniosłej postawie, o rysach wydatnych, otoczony liczną asystą. Wkrótce potem ukazała się trumna, pokryta wieńcami, niesiona na barkach towarzyszów i przyjaciół.

Silnemi ramiony dźwignęta w górę — z przeciągłym zgrzytnięciem oparła swe dno o żelazne podstawy na szczycie karawanu. Rzemieniami pasami spięta, kołysała się chwilę, potem osiadła spokojnie i nie drgnęła więcej, jak kolebka ręką niańki — w czasie snu dziecka — nagle zatrzymana.

Dzwony zabrzmiały śpiewnym koncertem, żałobny śpiew katolicki — taki piękny a taki smutny — rozległ się głośno, konie w czarnych oponach, bramowanych srebrnemi galonami, ruszyły z miejsca i kondukt wolno posuwać się zaczął ulicami miasta.

Warszawa, która umie uczcić zasługę — dopiero po śmierci — cała, zda się, wylęgła na pogrzeb zanego człowieka.

Tuż za trumną postępowała Jania w grubej żałobie. Długi, krepowy welon, zasłaniał jej twarzyczkę śliczną, trupio bladą, zalaną łzami. Czerwonawą obwódką okrążone oczy trzymała w ziemię spuszczone. Prowadził ją Franio, w mundur uniwersytecki ubrany. Na wieść o zgonie ojca przybył z Petersburga, aby z siostrą smutek i zmartwienie dzielić. Dwie sieroty — jak zwykle sieroty — czuły się same jedne na świecie, chociaż tłum je otaczał.

Ludziska, idący za pogrzebem, wspominali zmarłego.

— Szkoda go.. poczciwy był człowiek, uczynny, chętnie pomagał.

— Że poczciwy to poczciwy... ani słowa... ale pono nie zostawił po sobie majątku.

— Kto wie... Adwokacki majątek trudny do wykrycia i obrachowania.

— Lecz nie nieboszczyka. . żył pod szkłem.

— To jednak rzecz dziwna... najbogatsza klientela w mieście...

— I najbogatsza.. i najbiedniejsza...

— Człowiek powszechnie szanowany, ceniony...

— Szacunek właśnie zmniejszał dochody, a przyczyniał się do zwiększenia rozchodów.

— Tylko uczciwe i słuszne sprawy przyjmował do obrony, a te, jak wiadomo, nie suto są płatne.

— Czasem wcale niepłatne.

— Przytem chorował długo

— Tak, tak, panie dobrodzieju... ponoś długo chorował... choroba zaś, to kosztowna przykreść.

— Zwłaszcza kiedy kończy się śmiercią.

— Córeczka...

— Gdzie... która?

— Widzi pan... ta co idzie ze studentem w niebieskim kołnierzu...

— Czekażże pan... czekaj... bo zasłaniają...

— O!... odrzuciła na bok welon, żeby oczy otrzeć chusteczką.

— Aha!... ależ to dziecko jeszcze!

— Dziecko... ale dobra jak anioł, jak święta...

Oj! czemuż mnie Pan Bóg nie pokarał takim dzieckiem...

— W ciągu choroby nie odstąpiła ojca na chwilę, pielęgnowała, noce całe przy nim spędzała... Doktorowie nawet się dziwili....

— Czy być może?

— Tak, tak.... szczerą prawdę panu dobrodziejowi mówię.

Staś słuchał.

Wszystkie te głosy, w jeden wielki szmer zmieszane, odbijały się w jego sercu echem bolesnem.

Pierwszy raz w życiu był na takim pogrzebie, pierwszy raz w życiu widział taki wspaniały aparat śmierci: duchowieństwo śpiewające, cugi w czarnych kapach, karawan wysoki, bogatym obity kirem, wieńce na trumnie, pochodnie topniejące, z których spływały na bruk smolne, płomieniem palące się ślady, i długi sznur karet, ciągnących się za niezliczonym tłumem. On na wsi widział śmierć w czterech deskach sosnowych, na wozie drabiniastym, otoczoną rozpaczą niekiedy.... prawie zawsze nędzą, gorszą od śmierci. Umysł jego, świeży i wrażliwy, zestawiał i porównywał tajemniczą grozę zgonu, z realistycznym charakterem ostatniej posługi, jaką żyjący oddają zmarłym. Wszystko, co tu przesunęło się przed jego oczami, w przygnębiający sposób nań oddziaływało, zwłaszcza, że nieznanemu mu dotąd obraz stanowił tylko tło, otaczające bohaterkę dramatu, bohaterkę jego myśli, Janię, smutną, płaczącą, a taką cudną i uroczą w swoim smutku, Janię, którą — nie zdając sobie z tego sprawy — kochał całą mocą duszy tkliwej i czystej.

Serce jego, stworzone do kochania, kochało bezwiednie, a ponieważ było czułe, więc cierpiało cierpieniem każdej bliźniej niedoli, każdego obcego nieszczęścia, tylko swego własnego nierozumiejąc, chyba

że to, jak głód i chłosta w Krasnosójkach dolegało fizycznie.

Kondukt wił się powoli ulicami miasta. Przesuwał się przez rogatki i zatrzymał — już o zmroku — przed jedną z bram Powązek.

Rozkołysane dzwony zajęczały żałośnie.

Znowu dłonie przyjaciół uchwyciły trumnę i nieboszczyk, na barkach dawnych towarzyszy, wszedł tam, gdzie się kończą ziemskie nadzieje.

Wśród śniegiem okrytych drzew i krzewów cisnęli się ludzie, by uczestniczyć w ostatnim obrzędzie. Białyszron, z gałęzi otrząśnięty przez spieszących ku otwartemu grobowi, spadał — po ich przejściu cicho na kamienie, krzyże i pomniki. Zdawało się, że drzewa zmarzłymi łzami płaczą.

Nad murowanym dołem rozbrzmiewało *de profundis*.

Chwila ciszy... potem usta kobiet szeptały „Zdrowaś Marya“ i „Wieczne odpoczywanie“. Skrzynia z śmiertelnymi zwłokami spoczęła na ceglach, na dnie... Grudki ziemi posypały się na wieko... Murarze z grobarzami wzięli się do roboty.

Tłum zaczął rzednieć, rozpraszać się, rozplywać i ginąć w szarych cieniach rychłego, zimowego wieczora.

Tylko dwie sieroty, długo jeszcze klęczały na śniegu.

Wreszcie ktoś z bliższych znajomych zbliżył się i oderwał je niemal przemocą od mogiły.

W zamęcie, jaki wytwarza powrót z pogrzebu, jedna z fal ludzkich, pędzących ku wrotom cmentarza, rozdzieliła Stasia z Bolewską. Staruszka szukała jeszcze wzrokiem pupila w pośród grobowców, kiedy chłopczyk, porwany przez jakąś gromadkę, dopiero przy ramie zatrzymać się zdołał.

Pragnął wrócić i szukać pani Ireny, ale w tej chwili zobaczył Janię z bratem, otoczonych gronem, złożonem z kilku osób.

Zmierzali do powozów, oczekujących za murem.

Staś, tknięty nagle atakiem dawnej dzikości, cofnął się w tył, aby uniknąć spotkania z panienką, ale w bramie ścisk był jeszcze tak wielki, że chłopiec wymknąć się nie mógł; przeciwnie przyparty do wrót, zatrzymać się musiał jak wryty, niezdolny poruszyć się ani w prawo ani w lewo.

W tem położeniu nie wiedział, co z sobą począć.

Chciał głowę spuścić i nie patrzeć przed siebie, ale jakaś siła magnetyczna ciągnęła jego oczy ku Jani, która szła powoli, pozornie spokojnie, ale jak marmur biała — i osłabiona, chwiejąca się, niby blady kłosa żyta w polu, targany wiatrem.

Miał nadzieję, że go nie dojrzy, a jeśli nawet spostrzeże, to pewnie nie pozna.

— Tak już ciemno — myślał w duchu — przytem mateczka mówi, że się odmieniłem bardzo... Ach! jak ona się zmieniła!... Wyrosła... taka biała, taka smutna... poważna... może dumna...

Nie wiedział jeszcze, że smutek podnosi nad poziom i daje licom majestat królewski... Jedną rzecz tylko widział, że Jania piękniejszą jest teraz w swym smutku niż dawniej w pustocie i radości; że Jania cierpi okropnie, więc i on z nią razem cierpieć musi... a czy się zmieniła dla niego, czy o nim zapomniała... to już mniejsza, bo on o niej nigdy nie zapomni. Pomimo to, nie chciałby, aby go Jania spostrzegła... Wstyd mu, że tu tak stoi, jakby na nią czekał. Lęka się czegoś... Nie wie, czy skromność, czy obawa odejmują mu siły, że poruszyć się nie może, że nie przebi-

ja tłum i nie ucieka... Wolałby w ziemię się zapaść, niż wyczytać w oczach Jani, że go poznała.... W miarę, jak panienska się zbliża, serce mu bije coraz mocniej, coraz gwałtowniej, krew uderza mu do głowy; gorąco przebiega po całym ciele; w uszach szumi.... a przytem ją tylko jedną widzi, wzroku od niej oderwać nie może.

W bramie mnóstwo pań i panów, czekających na karety i powozy, stanowi wał żywy, trudny do przebycia. Służba kręci się i nawołuje na stangretów.

Jania stanęła tuż przy nim i czeka aż się wał rozstąpi. Franio z kilku mężczyznami pobiegł po powóz.... Ramię Jani dotknęło piersi Stasia.

— Nie widzi mnie.... nie pozna....

Chciał, żeby go nie poznała, a kiedy stało się po jego woli, serce mu się ścisnęło boleśnie.

Wtem z oczów bladej panienski trysły łzy wstrzymywane.... odchyła welon żałobny, by je otrzeć z twarzyczki.... Odwraca się od ludzi obcych... ku niemu.... Boże! spogląda na niego.... poznaje.

— Staś — zawołała — to ty!

— Ja — wyjąkał chłopiec, nie wiedząc, co mówić.

Coś niby obręcz żelazna, w ogniu rozpalona, ścisnęła mu gardło.

Jania patrzyła na Stasia ze zdziwieniem i radością.

Myśl na skrzydłach wyobraźni przeniosła się do Krasnosójek — ale długo to nie trwało. Ten ementarz, ta brama, te powozy z zapalającymi się latarkami, ci obcy ludzie, tak licznie zgromadzeni, słowem wszystko.... wszystko.... przypomniało jej okropną rzeczywistość. Łzy rzęsiste puściły się znowu z oczu.

— W takiej strasznej chwili spotykamy się mój drogi — rzekła — dziękuję ci, żeś przyszedł.

Wtem zajechała kareta.

Franio z niej wyskoczył, schwycił Janię za rękę by z tłumu wyprowadzić, a nie bacząc, że siostra pragnie się zatrzymać chwilę, coś powiedzieć, z kimś pożegnać, wsadził ją, wniósł prawie — lekką jak piórko — do karety. Konie ruszyły kłusem z miejsca i znikły wśród powozów w ciemności.

Staś stał nieruchomy. Nikogo nie widział, nie słyszał, w uszach brzmiały mu tylko dwa wyrazy „mój drogi!“

Szczęściem pani Irena go odszukała, wyprowadziła za rogatki, gdzie wsiedli oboje do dorożki, aby wrócić do domu.

---



## X.

### Matka rodzona.

Pewnego dnia, około godziny czwartej po południu, do pokoju Bolewskiej wpadł Karol rozpromieniony, jaśniejący szczęściem i radością.

Staruszka spojrzała na niego ze zdziwieniem. Przyzwyczała się widzieć go zawsze kwaśnym, zgryźliwym, niezadowolonym z siebie i ludzi. Jeśli kiedy weselszy i w lepszym humorze, to dlatego tylko, że zjawił się podochocił sobie w gronie towarzyszków biurowych, pomiędzy którymi używał miru i cieszył się sympatyą, jakkolwiek w gruncie rzeczy, koleżeńskim i przyjacielskim nie był wcale. Już to zawody nie wywierały dobrego wpływu na samolubną naturę Karola. Po każdym rozczarowaniu coraz bardziej tetryczał, a dla zalenia robaka zawiedzionej ambicyi i rozdrażnionej lub upokorzonej miłości własnej, chętnie na dno flaszki zaglądał.

— Czy jest Staś? — spytał wchodząc.

— Nie; nie ma. Wysłałam go do Saskiego ogrodu, aby się trochę przeszedł, odpoczął. Cały dzień uczył się ze mną geografii historyi, rysował dużo...

— Te rysunki!... nie na wiele się przydadzą... gdyby przynajmniej graficzne, to co innego... Ale jak tylko będę już u siebie, zaprzęgnę go do matematyki... Trzeba żeby zdał egzamin do gimnazjum realnego. Muszę zrobić z niego technika, lub mechanika... Tylko nauki ścisłe i przyrodzone, zastosowane do przemysłu, zapewniają byt i utrzymanie w naszych praktycznych czasach.

— Zdaje mi się, że zdolności Stasia, o ile je znam, rozwijać się powinny w kierunku artystycznym.

— Och! kochana ciociu....

Karol nazywał panią Irenę ciotką przez grzeczność, dla ujęcia jej wieku, chociaż według wszelkiego prawdopodobieństwa, była mu ona jakąś stryjeczno-wujeczną babką, po dziesiątej wodzie na kisielu.

— Och! kochana ciociu — powtórzył — zdolności, jeśli są, to są do wszystkiego.. ale mniejsza o to w tej chwili. Teraz, zgadnij ciotka, jaką przynoszę nowinę.

— Wygrałeś na loteryi?

— Nigdy nie stawiam.

— Ojciec ci przebaczył?

— Niestety! nie — szepnął Karol z westchnieniem. — Przeciwnie, podobno jeszcze bardziej na mnie zagniewany, ale zarazem zdrowszy; żeby odczepić się od natręctwa moich dwóch braciszków przyrodnich, nie dających mu spokoju ani na moment, wyjechał do Krakowa, gdzie zamierza stale się osiedlić.

— Proszę, proszę... Ha! to już chyba podwyższyli ci pensję w biurze...

— Tak, tak cioteczko; zgadłaś nareszcie. Dostałem awans... dwa tysiące dwieście pięćdziesiąt rubli rocznie.

— Ja na ruble rachować nie umiem.

— Piętnaście tysięcy złotych.

— Aż tyle!... toś ty teraz prawdziwy bogacz, będziesz mógł robić dużo dobrego.

— Słuchaj ciociu... najmuję śliczne mieszkanie, sprawiam meble eleganckie, sprowadzam Amelię... Z taką jak ona panią domu, mogę otworzyć salon... Będzie u nas bywać mój dyrektor, naczelnicy, cały świat urzędowy... może i arystokrację się przyciągnie.... Słowem, pierwszy stopień kariery... Pięknych nadziei mnóstwo... tylko przed Stasiem ani słowa, bo rozumie cioteczka, pragnę sprawić mu niespodziankę... Chcę zobaczyć, czy dziecko pozna matkę...

— Nie takie on dziecko, jak ci się mój Karolu wydaje; wkrótce, będzie z niego mężczyzna i ucziwy człowiek... Cieszę się z szczęścia, jakie na ciebie spada, chociaż mi żal, że będę musiała z twoim synem się rozłączyć. Przywiązałam się do niego szczerze, a jak Amelia przyjedzie, niezawodnie mi go odbierze.

— Ależ droga ciociu, będziemy u ciebie bywać codziennie, skarb twój ci nie ucieknie... Poznawszy moją żonę, ręczę ci, że ją pokochasz... Francuska, mówi prześlicznym akcentem, pańskie maniery w całym znaczeniu tego wyrazu, niech się niejedna nasza hrabina w kąć schowa... a przytem piękna, zachwycająco piękna...

— Nie wątpię, nie wątpię...

— Szaleć tu za nią będą.

— A ty sobie tego życzysz?

— Czemu nie... Serca jej i wierności jestem pewny, a piękna żona, to niemały sukurs, kiedy się marzy o karierze.

Bolewska siłą woli poskromiła na twarzy wyraz niezadowolenia i wstrętu.

— Więc Stasiowi nie nie mówić?

— Proszę bardzo. Ale, ale, ja tu gadam, a czas uchodzi... Lecę na pocztę, aby wyprawić list z pieniędzmi, które pożyczyłem na drogę dla Amelki; potem biegnę obejrzyć mieszkanie, pyszny garnitur mebli do salonu... o! niemało mam do roboty!

Staś zadumany, trochę blady, jakiś marzący, wszedł w tej chwili do pokoju.

Karol objął go za szyję i z gorączkową czułością pocałował w czoło. Chłopiec, który oddawna nie zaznał pieśchoty ojcowskiej, wzruszony niespodzianym pocałunkiem, przytulił się do rodzica.

— No, powiedz... dwa razy dwa... ile?

— Cztery — odpowiedział.

— A pięć razy ośm?

— Czterdzieści — rzekł chłopczyk. — Ależ ja już umiem wszystkie cztery działania, i regułę trzech, i...

— Widzi ciocia — przerwał niecierpliwący się Karol — będzie z niego matematyk!

Ucałował ręce pani Ireny, uściskał syna i wybiegł z mieszkania.

— Tato dziś wesół; już dawno go takim nie widziałem — mówił Staś, siadając na niskim stołeczku obok krzesła Bolewskiej.

— Ale ty widzę jesteś jakiś nieswój... Co ci jest?

Chłopiec oparł czoło o kolana opiekunki i wyszochał raczej niż powiedział:

— Mateczko... Jania wyjeżdża z Warszawy.

— Dokąd?

— Do Krakowa.

— Na długo?

— Może na zawsze.

— Zkądżeś się o tem dowiedział?

— Widziałem się z nią w ogrodzie ... sama mi powiedziała.... Franio ją odwozi do krewnych, sam zaś wraca do Petersburga.

Na twarzy Stasia malował się smutek głęboki.

Kiedyś — w kilka miesięcy po pogrzebie — kiedy nowa wiosna świeżą zielonością okrywała kasztany i lipy Saskiego ogrodu, spotkali się w alei Westchnień, niedaleko zakładu Wód Mineralnych, w którym Jania z polecenia lekarzy piła wodę krynicką. Na widok Stasia, panienska wyciągnęła do niego rączki i powitała jak przyjaciela, jak brata. Odtąd, za pozwoleniem pani Ireny — często w jej towarzystwie — widywali się codziennie. Sympatye, jakie ich łączyły, były tak czyste i dziecinne, że zacna Litwinka nie widziała nic niestosownego w zbliżaniu się do siebie dwóch istot, pełnych anielskiej dobroci i niewinności. Owszem, zdawało się jej, że tego rodzaju znajomość uchroni Stasia od zbyt rychłego zetknięcia się z prozą życia, z zepsuciem i jego ułudami, które w wielkiem mieście na każdym kroku na chłopców czyhają.

Ani Staś, ani Jania nie zdawali sobie sprawy uczuć, jakie ich łączyły. Żyli blisko siebie swobodni, szczęśliwi, zadowoleni, o nic się nie troszcząc, nie układając projektów na przyszłość, pewni, że tak być zawsze musi, że ten stan nigdy się nie skończy i nigdy nie zmieni.

Tymczasem Franio, już jako kandydat praw uniwersytetu petersburskiego, zaraz po egzaminach wrócił do Warszawy, aby zająć się losem siostry i zlikwidować spadek. Pocziwa, ale stara i znacznie w ostatnich czasach na zdrowiu podupadła guwernantka, która Janię dotąd wychowywała, nie była dla niej dostateczną opieką; na przyjęcie zaś nowej nie pozwalał bardzo zły stan funduszów. Sukcesya po znakomitym i zacnym mece-

nasie redukowała się nieledwie do zera. Wprawdzie w Banku Polskim spoczywała jakaś sumka, zapisana Jani przez jej nieboszczkę babkę, ale tej podnieść nie można było przed pełnoletnością dziewczynki. Franio postanowił zatem, że Jania pojedzie do Krakowa do krewnych, a on powróci do Petersburga, aby się doktoryzować, poczem skoro tylko otrzyma nominację na patrona, siostrzyczkę odbierze i już razem z sobą mieszkać będą. Pragnął zabezpieczyć swoją i Jani przyszłość wytrwałą pracą — przyszłość świetną — bo był ambitny; więc dla tego ją na czas pewien opuszczał, dlatego odrazu nie otwierał biura obrońcy, do czego miał zupełne prawo... a może też — chociaż zdawał się bardzo rozsądny i rachujący się z względami światowemi — ciągnęły go do Petersburga ładne oczęta Ludwini, córki hrabiego z Zalesia, który przybył tam z rodziną na czas dłuższy, aby prowadzić olbrzymi, przed kilku laty rozpoczęły proces o sukcesyę na Wołyniu, podstępnie mu wydartą i zagarniętą przez powinowatę, możną i wpływową.

Postanowienie brata — którego Jania słuchała jak ojca — spadło niby piorun na biedne dzieci. Pomimo to Staś, przyzwyczajony do uległości bezwzględnej, Jania — do spełnienia wszystkiego co nie było w sprzeczności z jej pojęciami o sprawiedliwości, pogodzili się z losem i pożegnali w obecności Bolewskiej, Frania i guwernantki, tak jak się dobrze wychowane i grzeczne dzieci żegnają, ze łzami w oczach, z głębokim smutkiem w duszy — ale spokojnie, cicho, nie sobie nie przyrzekając, do niczego się nie zobowiązując, bez frazesów górnołotnych, bez zaklęć i przysiąg, o jakich często pisze się w powieściach i roman-sach, ale o których jedno i drugie — nie pojmujące

swojej miłości, chociaż kochali się wzajemnie mocno i szczerze nie mieli — najmniejszego wyobrażenia.

Pani Irena jedna, przywiązana do Stasia jak do syna, dużo więcej wiedziała o ich sentymencie niż oni sami. Pani Irena, którą — jak wszystkich ludzi co długo bawilina tym padole płaczu i wiele tu doświadczyli — zastanawiały zawsze pozornie drobne, materialne okoliczności życia — troszcząc się o ukochanego wychowanka, myślała w duchu:

— Pan Filip Mowelski wyjechał do Krakowa... Jania tamże musiała pojechać... Pewno nie doczekam już, nie dowiem się o skutkach dwóch podróży... ale coś z tego będzie... oj! będzie.

O cichym dramacie rozstania się Jani ze Stasiem Karol nie wiedział — a gdyby i wiedział, nie zajmowałby się nim wcale. Takie dziecinne drobnostki nie mogły go interesować, zwłaszcza w chwili, kiedy pomysłność, długo oczekiwana, zdawała się doń uśmiechać.

Urządzał mieszkanie z przepychem nad możność, brał drogie meble na kredyt, posługiwał się najsłynniejszymi tapicerami, pewny, że francuska zasada *jeter de la poudre aux yeux* jest jedyną rozumną — co mówię — jedyną konieczną do powodzenia w świecie; przekonany głęboko, że kto bliźnim umie zręcznie zasypać oczy złotym piaskiem, ten na loteryi życia wielki los wygrać musi. Czyniąc wszelkie możliwe zabiegi, aby zaimponować ludziom, sferom urzędowym, Amelii, sobie — siebie samego bowiem nawet tumanił i oszukiwał — pomiędzy kolegami — myślącymi już o czemś wznioślejszem od samolubnych projektów wyniesienia się, jakie Karol układał — gonił za popularnością. Zdawało mu się, że polując na dwóch polach, w dwóch kniejach, nie tu, to tam, uda mu się ubić sobola karyery

i majątku i przydziać się w jego bogate futro. Schlebiał w górze, schlebiał w dole — i odrodzony złotymi nadziejami rzadziej zaglądał do buteleczki, do której jednak czuł pociąg nieprzezwyyczajony, a nabyty w czarnych godzinach przykrych rozczarowań.

Na Amelię — którą kochał jeszcze całą gorączką zmysłowych wspomnień — liczył jak na alianta przemożnego, który wielkie i stanowcze zwycięstwo interwencją swoją rozstrzygnie. To też, siedząc — jak to mówią pospolicie — na dwóch stołkach, oczekiwał na jej przybycie, rachując upływające dni, godziny i minuty z niecierpliwością kochanka lub ministra, który spodziewa się rychłego urzeczywistnienia swoich długo przygotowywanych kombinacji dyplomatycznych.

Nakoniec dzień, w liście żony zapowiedziany, nadszedł.

Karol nie mógł ani spać, ani jeść; a w biurze robota — zwykle bardzo intelligentnie, sumiennie i szybko przez niego załatwiana — szła mu jak z kamienia.

Godzinę, przed nadejściem pociągu, był już na kolei i przechadzał się po peronie roznerwowany, ale pełen wiary i ufności w gwiazdę, świtającą na horyzoncie jego pragnień i zamysłów.

Odgłos sygnałowego dzwonu wstrząsnął nim elektrycznie.

Rozległo się przeciągłe gwizdnięcie. Lokomotywa wtoczyła się, sapiąc. Długi szereg wagonów zatrzymał się przed chodnikiem platformy dworca Warszawsko-Wiedeńskiej drogi żelaznej.

Karol stał nieruchomy, naprzeciw drzwi wchodowych, wpatrując się w twarze wszystkich, wysiadających dam... W żadnej nie poznawał swojej drogiej Amelii.



Nagle, ktoś go uderzył z lekka po ramieniu i wy-  
mówił nad uchem znanym mu dobrze, słodkim głosem:

— *Charles, mon ami, tu ne me reconnais donc pas?*

Karol zwrócił się ku mówiącej ... i osłupiał.

Zamiast osoby o rysach regularnych, prześlicznych, oczach czarnych, płomiennych, o talii cienkiej i wiotkiej, o biuście zaledwie się zaokrąglającym, jak atlas gładkim a bez połysku, bo barwy śniadawe rzucały nań jakieś cudne, tajemnicze cienie — ujrzał przed sobą kobietę otyłą, czerwoną, o torsie olbrzymim, o ramionach okrągłych ale grubych i niekształtnych, o źrenicach wprawdzie czarnych, lecz tonących pod zwisłą i ciężką powieką, wśród twarzy rozlanej i nabrzmiałej Amelia, jego cudna i idealna Amelia — jak wszystkie niemal Francuzki, które przekroczyły granice trzydziestki — z uroczej najady lub nimfy leśnej zmieniała się w Rubensowską Junonę, w flamandzką kumoszkę, w oberżystkę holenderską, — może ponętną jeszcze dla pijanych Satyrów i Sylenów, dla rzeźników i piwowarów, dla Paryżan *de la décadence*, ale stanowczo nieodpowiadającą roli, jaką jej w planach swoich Karol przeznaczył.

Samolub, ze szczytu piramidy, którą sam — wyobraźnią pełną rojeń ambitnych — wznosił i wystawił w swoim umyśle, runął nagle w bezdenną przepaść okropnego bolesnego rozczarowania.

— A Staś?... mój syn najdroższy?... czy zdrów? czemu z tobą nie przyszedł?

Tylko jej głos się nie zmienił, tylko po głosie poznawał swoją Amelkę.

— Chciałem mu zrobić niespodziankę... nie wie o twojem przybyciu — jąkał Karol.

Jaka to ważna chwila w naszym życiu, mój koteczku ukochany! Co za rozkosz po tylu latach nie-

widzenia, rzucić się sobie w objęcia — deklamowała Amelia patetycznie, przyciskając pomięszanego męża do swego szerokiego, burzliwie falującego łona.

— Och! mama, moja mama droga, jakżeby była kontenta, gdyby mogła już teraz szczęście nasze dzielić! Kiedyż sprowadzisz moją matkę? czy to prędko nastąpi?... Widzisz, jabym umarła, gdybym na długo z mamą rozstać się musiała!

Karol, nazwany „koteczkiem ukochanym“, jak kot schował pazury, ale w duszy jego odbywała się jakaś straszna rewolucya. Rzucał błędnym wzrokiem w około, czy go kto ze znajomych nie widzi; — mienił się na twarzy, wstydził się, radby się w ziemię zakopać, rozbić chodnik pod nogami i jego płytami się przykryć, — wówczas bowiem, kiedy rzecz opowiadana miała miejsce, peron dworca wyłożony był kamieniem, a nie jak dziś, wylany asfaltem.

— Jedźmy, jedźmy czem prędzej — mówił głosem urywanym — spieszmy się do dziecka... Po rzeczy przyszlę później... Naprzód do dziecka.

Chwycił żonę pod rękę, pociągnął za sobą, szybko wprowadził z dworca, wsadził do pierwszej dorożki, która się nawinęła i krzyknął gromko na woźnicę:

— Na Bracką... co koń wyskoczy!

Dorożkarz odwrócił się, zmierzył tuszę pasażerki ironicznem spojrzeniem, zaciął konie i mruknął pod nosem:

— Nie ma co mówić, zdrowa baba!

Chociaż turkot kół, skaczących po nierównym warszawskim bruku zagłuszył wyrazy, Karol wyczytał je na twarzy woźnicy.

Przygnębiony, zadumany, milczący, nie obejrzał się nawet, kiedy dorożka zatrzymała się przed mieszkaniem Bolewskiej.

Pani Irena czekała na przybywających w przedpokoju z chlebem i solą.

— Moja żona — rzekł Karol sucho, przedstawiając Amelię.

Pocziwa Litwinka, chociaż jednym rzutem oka objęła i oceniła pomięszanie samoluba, a łatwo odgadła przyczynę jego niepokoju i zmartwienia, ze zwykłą sobie dobrocią i delikatnością nie dała po sobie poznać, że widzi rozdrażnienie męża, oraz że powierzchowność żony niepodobną jest do wizerunku Amelii, jaki Karol tak chętnie i barwnie kreślił w swoich o niej opowiadaniach. Objęła przybyłą za szyję, ścisnęła czule i serdecznie za rękę, a składając na jej czerwonych, tłustych policzkach dwa pocałunki, szepnęła z cicha:

— Szczęśliwa jestem, że pierwsza z całej rodziny twego małżonka, mogę cię powitać na naszej ziemi rodzinnej, związkami i wspólnym przelewem krwi połączonej z twoją ojczyzną. Witam cię jak córkę, a sądząc z tego, co od niego słyszałam — tu wskazała na Karola — pewną jestem, że cię pokocham całym sercem. Przyjm chleb i sól, które ci podaję według starodawnego, tradycyjnego zwyczaju, życząc ci szczęścia i wszelkich pomyślności.... Daruj, że mówię zniżonym głosem, ale ztąd Staś usłyszeć nas może.

Amelia uczuła się wzruszoną do głębi prostymi wyrazami staruszki.

Ucałowała jej rękę i już .. już... wybuchnąć miała w odpowiedzi jedną z tych tyrad patetycznych — które ziomkowie jej tak chętnie przy każdej sposobności wygłaszają, ceniąc przedewszystkiem krasomówcze popisy, gotowi zawsze poświęcić rzecz i treść dla stylu i frazesu — lecz Karol, dziś zdenerwowany, zły i niezadowolony, powstrzymał u samego ujścia kaskadę szumnych wyrażeń.

— Cicho... ciszej... chodźmy ztąd... tu nas Staś usłyszeć może.

— Tak, tak — dodała Bolewska — chodźmy na-przód do mego pokoju, tam poprawisz toaletę... spo-czniesz trochę... potem wejdziemy do salonu.

Jakiś przymus zapanował między niemi; nikt z trojga nie był zupełnie swobodny.

Amelia, w czasie nieobecności męża pozbawiona miłości w praktyce, zaczęła ją uprawiać w teorii. Tę-skniąca za ukochanym, uwielbianym — aby się rozer-wać — wzięła się do czytania romansów; pochłoneła tysiące tomów bez wyboru, bez krytyki. Nieskończenie dobra — powiem nawet cnotliwa — odpychająca z dumą wszelkie ponęty, które w Paryżu tak łatwo sprowadzają młode kobiety z uczciwej drogi, nie była dość inteli-gentną, aby w utworze sztuki pisarskiej ziarno od plew oddzielić, zająć się myślą a formie przyznać tylko do-pełniające znaczenie. Dla niej, druga posiadała więcej uroku od pierwszej. Przejęła się na wskroś frazesem, zachwycającym ją i upajającym jak haczysz. Starła się styl książkowy naśladować w rozmowie. To też konwer-sacya jej, niegdyś miła, prosta, serdeczna, sympaty-czna, stała się teraz napuszczystą, nadętą, dziwaczną a dla słuchaczy uciążliwą. Nie dotykała ziemi i nie wzlaty-wała w niebo, lecz chodziła na szczydłach. Sama swe-mu dyalogowi, a raczej długim monologom, przysłu-chiwała się z rozkoszą, zwłaszcza, że w ślicznym jej głosie, brzmiały one harmonijnie, niemal ładnie. Sza-fowała przenośniami, parafrazami i kolorytem, to dow-cipnym francuzkim, to romantycznym lub pseudo-wscho-dnim, pożyczonym z „Tysiąca i jednej nocy“ — ze szczodrością bez granic. Sadziła brylanty i perły na śmietniku, rajskie ptaki i kolibry zamykała w kurni-kach, rozpływała się nad najpospolitszym i najprozai-

ezniejszym przedmiotem, aby tylko przed licznem — lub nawet nielicznem — audytoryum, wysypać wszystkie skarby swego stylowego repertoaru. Słowem, dzięki tęsknocie za mężem, egzaltacya jej wrodzona przybrała charakter nieznośny, nie do opisania nudny. Tak więc przeobrażenia, jakie zaszły w jej powierzchowności, niekorzystnie dopełniała jeszcze pewna przemiana moralna, a to wszystko bystro i szybko przez Karola dostrzeżone i ocenione należycie, było dlań męczarnią, torturą okropną.

Zaraz po spotkaniu męża, obwiał Amelię chłód, którego się nie spodziewała, nie przeczuwała nawet, listy bowiem jego były pełne miłości. Uwielbiana przez matkę, która widziała w niej bóstwo i cud piękności, otoczona w Paryżu gronem admiratorów — którzy po wyjeździe Karola zaraz się na ulicę Drouot zlecieli — admiratorów dworujących jej, jak się w „raju kobiet“ dworuje każdej niezupełnie brzydkiej kobiecie, a szczególnie uposażonej w bogate wdzięki olbrzymio rozwiniętego ciała, nie mogła przypuścić, że powierzchownością swoją i zachowaniem się wywarła na samolubie przykre wrażenie. Rozczulona słowami Bolewskiej, już zaczynała się oswajać z otoczeniem, kiedy przerwianie krasomówczego wybuchu, wprowadziło ją znowu w zły humor. Nagle, wszystko wydało się jej tu obcem, niskiem, małym, pospolitem, od stylu, którym do niej przemawiano, do skromnego sypialnego pokoiku staruszki, do białej fajansowej miednicy, w której się umyła, do mahoniowej staroświeckiej gotowalni, przed którą poprawiła bujne włosy.

— Chyba teraz, mogę się już przedstawić memu jedynakowi — rzekła z przekąsem — ale wprzód pokażcie mi go z daleka.

— Owszem, owszem — powiedziała pani Irena — patrz moja droga.

— Staś siedział przy rejsbrecie i rysował z gipsu głowę Katona Utyckiego. Pograżony w dumaniach o swojej Jani, nie słyszał, co się działo w sąsiednich pokojach.

— Ależ to już nie dziecko, to prawie mężczyzna — szepnęła wzruszona Amelia. — Muszę być bardzo stara, kiedy mam takiego dużego syna.

Coś jak żal, jak smutek, jak obawa, jak niepewność, czy będzie jeszcze kochaną przez męża, prześliznęło się po jej gładkiem i bądź co bądź pięknem czole.

— Och! sercem i duszą — odparła Bolewska z uniesieniem — jest dzieckiem, zupełnem dzieckiem... Dobry i niewinny jak anioł; — ocenisz go wkrótce, jak go poznasz.

— Pani go musi bardzo kochać?

Na szmer, jaki się rozległ przy drzwiach sypialni, Staś podniósł głowę z nad deski i ujrzał przed sobą Amelię, panią Irenę i ojca. Powstał szybko z siedzenia skłonił się grzecznie nieznanym, zbliżył do ojca, pocałował go z uszanowaniem w rękę, potem przytulił się do opiekunki.

— *Mon fils, viens dans mes bras!* — zawołała patetycznie pani Amelia, przybierając pozę teatralną.

Staś nie ruszył się z miejsca.

— Nie poznajesz tej pani? — spytał Karol.

— Nie tato.

— Nie rozumiesz co mówi?

— Nie rozumiem... zapomniałem po francusku.

Biedna kobieta — istotnie pożałowania godna, ale nie mogąca poskromić skłonności do przesady i patosu, załamała ręce, wzniosła oczy w górę i zaczęła chodzić po pokoju podwójnymi krokami, jakimi aktorki

bulwarowe przemierzają scenę w kulminacyjnych punktach dramatu.

— Mój syn mnie nie poznaje, dziecko moje nie rzuca mi się w objęcia... To hańba! to zgroza!... Jakżeście go tu wychowali ludzie okrutni!

Karol mienił się na twarzy... i nie wiedział co począć.

— Stasiu! idź uściskaj swoją matkę — wycedził nareszcie po chwili przez zaciśnięte zęby.

Chłopiec zwrócił się do pani Ireny i objął ją czule za szyję.

— O! najchętniej!

— Ależ nie... swoją mamę...

— Mateczkę właśnie chcę pocałować.

Amelia na ten widok zatrzymała się w pośrodku pokoju. Łzy puściły się jej z oczu.

— Głos krwi przez niego nie przemawia. O! ja nieszczęśliwa! przeklęta! z miłości dziecka wydziedziczona! Syn mój, owoc mego łona, kość kości moich, mlekiem mojem obfitem wykarmiony, przy którym noce bezsenne spędzałam, wypiera mnie się, wyrzeka...

Bolewska, sercem zacnej kobiety zrozumiała całą tragiczność sytuacji i postanowiła położyć jej koniec. Wzięła zatem Stasia za rękę i przyprowadziła go przed usuwającą się przed niemi desperatkę.

— Słuchaj Stasiu... ja jestem tylko swoją przybraną matką... ona... rozumiesz... ona jest swoją matką rodzoną... tą, coś zostawił w Paryżu, o której tyle razy mówiłeś ze mną, którą kochasz, o której śniłeś...

Chłopiec słuchał uważnie z wlepionymi w panią Irenę oczami. Po każdym wyrazie zdawało mu się, że się coś w mózgu jego rozjaśnia. Zaczął powoli pojmo-  
wać, że to co ojciec mówił przed chwilą nie było

żartem, ani próbą jakąś, doświadczającą jego przywiązania do drogiej opiekunki.... że w tem wszystkiem musi być prawda, prawda szczerą....

Nagle zasłona zaciemniająca w pamięci jego przeszłość oddaloną rozdarła się na dwoje.

— Matka moja rodzona! — krzyknął pełnym radości głosem, po polsku.

Rzucił się na Amelię, powstrzymał jej gwałtowne poruszenia, objął silnie rękami i całował od stóp do głów, śmiejąc się i płacząc razem.

Przypomniawszy sobie naraz parę wyrazów macierzystego języka, bełkotał jak małe dziecko, wymawiając je także po dziecinnemu :

— *Maman... maman chérie... c'est toi ... maman!*

Syn poznał matkę, matka odnalazła syna.

W uściskach gorących, w pocałunkach bez końca pękły lody zapomnienia. Cała sztuczna, teatralna, napuszona tragikomiczność sytuacji rozplynęła się w łzach rzewnych, w westchnieniach, w szeptach dla nich tylko dwójga zrozumiałych.... Dla nich i dla otaczających — nawet dla Karola.

---